

KRÓL SIĘ BAWI.

DRAMAT WIKTORA HUGO.

PRZEKŁAD

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

L W Ó W.

Nakładem wydawnictwa Dziennika Literackiego.

1865.

Władysław Sabowski

O s o b y:

Franciszek I.
Triboulet.
Blanka.
Pan de Saint-Valier.
Sattabadil.
Magelona.
Klemens Marot.
P. de la Tour-Landry.
P. de Pienne.
P. de Gordes-Simiane.
P. de Pardaillan.
P. de Vic.
P. de Brion.
P. de Montchenu.
P. de Montmorency.
P. de Cossé.
Pani de Cossé.
Pani Béarde.
Dworzanin królowej.
Służący króla.
Doktor.
Panowie. Pазie. Lud.

Rzecz dzieje się w Paryżu w 152 r.*

330133



Z drukarni E. Winiarza.

A k t I.

Pan de Saint - Vallier.

(Zabawa nocna w Luwrze. Wspaniałe sale pełne wystrojonych mężczyzn i kobiet. Światła, muzyka, tańce, wybuchy śmiechu. Służący roznoszą półmiski złote i emaljowane naczynia. Grupy paziów i dam przechadzają się po scenie. Bal zbliża się do końca. Zorza dzienna przebija przez okna. Pewna swoboda panuje; zabawa ma nieco charakteru orgji. W architekturze, umeblowaniu, strojach, gust odrodzenia.)

Scena pierwsza.

Król (jak go maluje Tycjan). **P. de la Tour - Landry.**

Król. Chciałbym raz skończyć z tą awanturą,
Hrabio... Mieszczanka, niskiego rodu,
Ale precudna... to bez zawodu.

Tour-Landry. Król ją spotyka?...

Król. Na mszy, na którą
Chodzę co święto teraz. W kościele
Saint Germain de Près.

Tour-Landry. Od dwóch miesięcy
Trwa to ściganie?...

Król. Tak... może i więcej..

Tour-Landry. Jeszcze się królu spytać ośmielę,
Gdzie piękność mieszka?

Król. W zaułku Bussy.

K. 2559/62

Tour-Landry. Gdzie pałac pana de Cossé?...

Król. Dalej.
Gdzie jest mur duży.

Tour-Landry. Najdoskonalej
Trafiłbym, królu.

Król. Co tydzień klusy
Robię porządne, pośpiesznym krokiem
W te strony, za nią; a przy niej zawsze
Czujna nad uchem, usta jej, wzrokiem,
Jest dzika stara... Co najciekawsze
Że wieczór, w nocy ponurem cieniu,
Do tego domu zakłątą bramą
Wchodzi mężczyzna w czarnem odzieniu,
Jak mara...

Tour-Landry. Królu, zrobić tak samo!...

Król. Drzwi mocne, mury nie do przebycia!

Tour-Landry. Gdy ścigasz królu ową istotę,
Czy ona daje jaki znak życia?

Król. Wnosząc z jej spojrzeń, miałbym ochotę,
Zasadną może, to sobie tuszyć,
Żem nieco umiał serce jej wzruszyć.

Tour-Landry. Czy wie, żeś królem?...

Król (robiąc znak zaprzeczenia). Chodzę przebrany
W odzież zwyczajną...

Tour-Landry (śmiejąc się). Tom przekonany,
Królu, że wasza cudna wybranka,
To jakaś Toinon, księża kochanka,
(Wchodzi kilku panów i Triboulet.)

Król (do p. de la Tour-Landry).

Cicho, nadchodzą! Wiesz, że w miłości
Potrzeba milczeć, by dojść do celu.

(obracając się do Tribouleta, który się zbliżył i słyszał ostatnie
wyrazy.)

Nieprawdaż?

Triboulet. Słuszne we względach wielu
Jest zdanie Waszej królewskiej Mości.

Scena druga.

Król, Triboulet, p. de Gordes-Simiane i kilku panów.
(Panowie wspaniale ubrani. Triboulet w kostiumie błazna, jak go
odmalował Boniface).

(Król patrzy na przechodzącą grupę kobiet)

Tour-Landry (do króla).

Pani de Vendosme to jasno-włose
Bóstwo...

P. de Gordes (podobnie).

A pani d'Albe w sukni z tiulu!...

Król. Obie przewyższa pani de Cossé.

Gordes. Pani de Cossé, sza! ciszej królu!

(wskazuje pana de Cossé, który przechodzi w głębi. Pan de Cossé,
krótki i brzuchaty, „jeden z czterech najgrubszych pomiędzy szla-
chtą francuzką“, jak mówi Brantôme).

Mąż słyszy.

Król. Cóż to szkodzi Simianie?

Gordes. Powtórz słowa tve pani Djanie.

Król. Mniejsza!

(idzie w głąb sceny, rozmawiać z innymi kobietami przechodzącymi)

Triboulet (do p. de Gordes).

Monarcha z Djaną jest w gniewie,
Już od tygodnia z nią nie roznawia.

Gordes. A czy do męża jej nie wyprawia?

Triboulet. Nie sędzę, chociaż tego nikt nie wie.

Gordes. Za łaskę ojcu, daną wspaniale,
Już zapłaciła widać królowi.

Triboulet. Ach! ten jej ojciec, pan de Saint-Vallier,
Miał myśl szczególną, niech kto chce powie,
Sklaniać powagą swoją ojcowską
Wybraną Djanę, tę piękność boską,
Którą mu szczodre dały niebiosy,
By połączyła swe świetne losy
Z garbusem!

Gordes. Ojciec, to głupiec stary!
Byłem w tej chwili na miejscu kary,
Gdy król akt łaski wydał wspaniale.
Był błąd, straszny. Te tylko słowa
Wyrzekł: „Niech pan Bóg króla uchowa!“
Teraz ten starzec oszalał wcale.

Król (przechodząc z panią de Cossé).

Nieludzka! jedziesz tedy!

Pani de Cossé (wzdychając). Do Soissons.
Mąż mnie wywozi.

Król. To czyn niegodny!

Paryż dostoiny i Paryż modny
Straci co było jego okrasą.
Ludzie nauki i ludzie mienia
Wlepiają w ciebie tęskne spojrzenia...

Wzlatując w koło żywota szersze,
Kiedy ci w holdzie pragną nieść zawsze
Poeci — swoje najlepsze wiersze,
Poedyndkarze — ciosy najkrwawsze,
Gdy twoje oko zwyciężkie sieje
Postrach w rywalek biednych szeregu,
Gdy dwór jedynie tobą świetnieje,
Tryumfalnego chcesz przestać biegu,
Chcesz zostać, gardząc książęcym rojem,
Mieszczańską gwiazdą w ustroniu swoim!

Pani de Cossé. Królu ja muszę...

Król. To być nie może!

Wola twojego męża uparta,
Chce zgasić słońce na moim dworze.

(Wchodzi p. de Cossé)

Pani de Cossé. Ot mój zazdrośnik, królu!

(opuszcza śpiesznie króla).

Król.

Moc czarta

Bodaj go sobie wzięła!

(do Tribouleta).

A przecie

Jam pisał wiersze do jego żony!...

Marot pokazał ci Tribulecie

Madrygał, świeżo dla niej zrobiony?

Triboulet. Nie czytam nigdy twych wierszy panie,

Bo wiersze króla muszą być słabe!

Król.

Głupi!

Triboulet.

Motłochu rzecz rymowanie,

Co stawia obok „żabę“ i „babę“.

Przy pięknych, królu, masz pole szersze,

Niech się majestat twój nie poniża,
Ty kochaj, Marot niech robi wiersze,
Król rymujący sobie ubliża!

Król (z zapalem).

Śpiewać miłości zdradzieckie sidła,
To wznosi serce. — Dodałbym śmiało
Do wień w mym herbie Pegaza skrzydła.

Triboulet. Tobą w wiatraki je pozamieniało.

Król. Doprawdy, kazałbym cię ochłostać,
Ale się zbliża anielska postać,
Pani de Coislin.

(biegnie do pani de Coislin, i zdaje się przemawiać do niej, obsypując ją grzecznościami.)

Triboulet (n. s.) Leć, leć i do niej
Za wiatrem szalu, co tobą władnie!

P. de Gordes (zbliżając się do Tribouleta, i zwracając jego uwagę na to, co się dzieje w głębi).

Pani de Cossé, z bukietem w dłoni,
Patrz, ręczę, że jej chustka upadnie,
By król ją podniósł..

Triboulet. Będziem zważali.

(Pani de Cossé, która z przykrością spoglądała na rozmowę króla z panią de Coislin, upuszcza bukiet. Król opuszcza panią de Coislin i podnosi bukiet pani de Cossé, z którą zawiązuje rozmowę, widocznie bardzo czułą.)

P. de Gordes (do Tribouleta).

A co? nie zgadłem?

Triboulet. Najdoskonalej!

Gordes. Patrz! król go podniósł.

Triboulet.

W sprawie miłosnej

Kobieta to jest czart ulepszony!

(Król obejmuje w pół panią de Cossé i całuje ją w rękę. Ona śmieje się i szczebiocze wesoło. Nagle pan de Cossé wchodzi przez drzwi w głębi i zatrzymuje się z oczyma, wiezionymi w króla i żonę.)

P. de Gordes (do Tribouleta).

Patrz!... mąż!... oczyma szuka swej żony.

Pani de Cossé (spostzegając męża, do króla, który ją trzyma w pół)

Mąż królu!

(wymyka się z rąk króla i odbiega.)

Triboulet.

Skona brzuchacz zazdrośny.

(Król zbliża się do bufetu w głębi i pije.)

Pan de Cossé (n. s. zbliżając się naprzód sceny, zamyślony).

Co on jej mówił?

(zbliża się z żywością do p. de la Tour-Landry, który mu dał znak, że chce z nim mówić.)

Co?

Tour-Landry (tajemniczo).

Cudną żonę

Masz panie!

(P. de Cossé oddala się od niego i zbliża się do p. de Gordes, który również zdaje się chcieć z nim mówić.)

P. de Gordes (cicho). Jakiś smutek istotny

Dreżczy cię.. ciągle patrzysz w tę stronę.

(P. de Cossé odchodzi z gniewem i spotyka się, oko w oko, z Tribouletem, który z miną tajemniczą odciąga go na stronę, podczas gdy pp. de la Tour-Landry i de Gordes śmieją się całym gardłem.)

Triboulet (cicho do p. de Cossé).

Coś mi pan dzisiaj strasznie markotny!

(Wybuch śmiechem i obraca się tyłem do p. de Cossé, który wychodzi wściekły.)

Król (powracając).

O! jam szczęśliwy! Herkules, Jowisz,
Amanci śmieszni!... Olimp, poddasze
Dla mnie!!... Cudowne kobiety naszeli!...
O! jam szczęśliwy!

(do Tribouleta)

A! ty!... co powiesz?...

Triboulet. Śmieszą mnie bale, miłość, gry, kwiaty,
I sędzę, panie mój miłościwy,
Żeś król, i jako król tyś szczęśliwy,
A jam szczęśliwy, jako garbaty.

Król. Nic nie brakuje zabawie całej,
(patrzac na wychodzącego p. de Cossé)
Tylko ją dąsy zazdrośne mącą
Pana de Cossé...

Triboulet. Żal mi brzuchały!

Król. Czemu?

Triboulet. Bo głupi znieważająco.

Król. Co mi tam zresztą ten nadaśany!
Wszystko módz, pragnąć, mieć, Trybulecie,
To rozkosz! Dobrze żyć na tym świecie!

Triboulet. Tak, królu! zwłaszcza kiedyś pijany!

Król. Lecz... tam... spostrzegam blask cudnej twarzy...

Triboulet. Pani de Cossé?...

Król. Chodź! stań na straży!
(śpiewa)

Niech żyją uzty wspaniałe,
Których kosztują wybrani,
Kiedy kobiety są białe...

Triboulet (kończy śpiew).

Kiedy mężczyźni pijani!...

(Wychodzą, wchodzi kilku panów.)

Scena trzecia.

P. de Gordes, P. de Pardallan (młody paż, blondyn). **P. de Vic, Klemens Marot** (w sukni kamerdynera królewskiego) później **P. de Pienne** i paru innych panów. Od czasu do czasu **P. de Cossé** (który się przechadza z miną bardzo poważną i zamyśloną).

Klemens Marot (kłaniając się p. de Gordes i innym).

Cóż dziś nowego? moi łaskawi

Panowie.

Gordes. Mało. Feta wspaniała,

I król się bawi!

Marot. To bogom chwala!

P. de Cossé (przechodząc po za niemi).
Nie jest bezpiecznym król, co się bawi.

(oddala się)

Gordes. Ten biedak gruby Cossé zmartwiony;

Marot (cicho). Król się coś bierze do jego żony?

(P. de Gordes potwierdza skinieniem. Wchodzi p. de Pienne.)

Gordes. Witaj nam książę!

P. de Pienne (tajemniczo). Nowość, panowie!

Co rozum mięsza w najmędrzej głowie,

I konającym uśmiech przyzywa!

Rzecz równie dziwna jak niemożliwa!

Gordes. Cóż to?

P. de Pienne (gromadząc grupę około siebie).

Sza!...

(do Marota, który rozmawia z innymi).

Chodź no tu wieszczu Marot!

Marot (nadbiegając).

Co, książę?

P. de Plenne. Wielkiś ty w swej głupocie,

Marot. Wielkim się żadną nie sędzę miarą!

Plenne. Czytałem w jakiejś twojej ramocie

Ten nędzny dwuwiersz na Tribouleta:

„Błazen o głowie ciasnej i tepej,

„Co z wiekiem racze robi postępy...“

Klemensie Marot, słabyś poeta!

Marot. Na Kupidyna, książę i panie,

Nic nie rozumiem.

P. de Plenne (do p. de Gordes).

Panie Symjanie!...

(do p. de Pardaillan)

Panie Pardaillan!...

(PP. Gordes, Pardaillan, Marot i nadchodzący p. de Cossé otaczają do koła księcia.)

Może zgadnicie

Com się dowiedział o Triboulecie?

Pardaillan. Że garb postradał?

P. de Cossé. Że został parem?

Marot. Że go zjedzono ze sosem szarem?

Plenne. Nie! to śmieszniejsze!... Ma niepojętą
Rzecz...

Gordes. Pojedynek, walkę zaciętą?

Plenne. Nie.

Pardaillan. Może małpę brzydszą od siebie.

Plenne. Nie!

Marot. Może kieszeń pełną dukatów?

P. de Cossé. Urząd psa-kuchty?

Gordes. Blizny od batów?..

Marot. Tajemną schadzkę z boginią w niebie?

Gordes. Ma duszę może?

Plenne. Ni to, ni owo.

Triboulet błazen, Triboulet krzywy,

Co ma?... zgadnijcie!.. ma.. dziw nad dziwy!..

Nie odgadnicie daję wam słowo!

Marot. Ma garb?

Plenne. Nie. stawiam sto przeciw pięciu!..

Kochankę!..

(Wszyscy wybuchają śmiechem.)

Marot. Dziwny żart przyszedł księciu!

Pardaillan. Bajeczki!

Plenne. Klęę się na moją duszę!

Dom jego pięknej wskazać wam muszę.

Chodzi tam nocą, płaszczem okryty,

Z czołem ponurem i nadąsanem.

Jak wieszcz jedynie natchnieniem syty.

Splątam mu figla!.. Krążąc nad ranem

Przy domu Cossé'a sam go widziałem!

Tak jest... lecz sekret o zajściu całem.

Marot. To do sonetu przedmiot stanowi:

Triboulet w nocy zmienion w Kupida!..

P. de Pardaillan (śmiejąc się).

Pięknosc, co sprzyja Tribouletowi!..

P. de Gordes (śmiejąc się).

Rozmilowana w garbie Sylfida!..

Marot (śmiejąc się).

Musi też piękną być doskonale,
I gdyby w pośród wojny okrzyków
Znów jaki Bedford chciał najść na Calais,
Jej wzrok by wygnał wszystkich Anglików!
(Wszyscy się śmieją. Nadchodzi p. de Vic.)

P. de Pienne (kładąc palec na ustach).

Sza!...

P. de Pardailan (do p. de Pienne).

Co to znaczy, że codziem nocą
Król sam wychodzi? dokąd i po co?

Pienne. Vic nam to powie.

P. de Vic. Ja nie wiem wiele,
Lecz król się bawi, ręczę wam śmieie.

P. de Cossé. Ah! nie mów o tem.

P. de Vic. Ja się nie troszcze,
W którą go stronę kaprys pogania,
Dla czego wieczór choć deszcz, wiatr chloszcze,
Nierozpoznalny z miny, ubrania,
Błądzi... Może mu okna lub kraty
Za drzwi do jakiej służą komnaty...
Co mi to szkodzi?... jam nie żonaty!...

P. de Cossé (wstrzasając głową).

Rozkosze króla, jego zabawy
Są ceną cudzych: szczęścia i sławy!
Ten kto ma siostrę, córkę lub żonę,
Musi drzeć o nie, bo pan wszechwładny,
Gdy czoło jego rozweselone,
Nie dba, że w sieci zgubi je zradnej.

Bać go się trzeba... bo wszak bieją ją
Zęby co gryzą z ust, co się śmieją.

P. de Vic (cicho do innych).

Jak on się boi króla!

P. de Pardailan (podobnież).

Lecz żona

Zdaje się nieco mniej przestraszona.

Marot (podobnież).

To go też właśnie aż tak przestrasza.

P. de Gordes (głośno).

Mylisz się Cossé. Powinność nasza
Jest utrzymywać króla w weselu.

P. de Pienne (do p. de Gordes).

Jam twego zdania, mój przyjacielu,
Król co się nudzi, zwłaszcza król młody,
To dżdżyste lato, piękność w klasztorze...

P. de Vic. To jak butelka, pełna mdelej wody.

Pardailan. Miłość bez walki,

P. de Vic. Lub bez rzek morze!

Marot (cicho).

Ciszej panowie, bo oto idą,
Król i Triboulet, nocny Kupido.

(Wchodzi król i Triboulet, dworacy usuwają się z uszanowaniem.)

Scena czwarta.

Ciż sami. Król. Triboulet.

Triboulet (wchodząc prowadzi rozpoczętą rozmowę).

Uczonych, królu, na dwór wprowadzić?!...

To skandal rzadki!.. Kto to mógł radzić?...

- Król.** Wytłómacz-że to księżnie Nawarry,
Co mnie otoczyć pragnie mędrkami.
- Triboulet.** Racz przyznać królu, pomiędzy nami,
Żem takiej jak ty nie wypił miary,
Że więc wydając o rzeczach zdanie,
Nad tobą wyższość mam niesłychaną,
Sądzę je bowiem, królu i panie,
Nie po królewsku i nie pijano. —
Raczej zaraza, mór, i tam dalej,
Niż tłum uczonych niech się tu zwali.
- Król.** Zdanie zbyt lekkie.. siostra chce tego!
- Triboulet.** A! jak na siostrę, to nadmiar złego!
Wierzaj mi królu! nie ma nudziarza,
Bydlęcia, kruka, wilka, pawjana,
Gęsi, cielęcica, wierszopisarza.
Psa, teologa, mahometana.
Ani ławnika w flamandzkim mieście,
Ani niedźwiedzia w lesie nareszcie,
Coby był brzydszym i rozczochrańszym,
W ohydzie kształtów swych wyszukańszym,
Bardziej nadętym wiatrem głupoty,
Brudniejszym bardziej i najeżonym,
Nad osła, który w mowie hołoty
Zwie się szyderczo mędrce, uczonym! —
Brak-że ci królu władzy, rozkoszy,
Kobiet, co wieńczą uczty i bale?...
- Król.** Ha! siostra mówi, że pókim w szale
Młodości, gwar ten nudy me płoszy,
Lecz, że kobiety nie starczą zawsze,
I że się znudzę...

- Triboulet.** Żarty najkrwawsze
Królu, chociażby prawda w tem była,
Trzebaby znaleźć lekarstwo inne,
Niż mędrków... Księżna chyba życzyła
Wpędzić cię, panie, z deszczu pod rynnę!
- Król.** Więc zgoda... mędrców nie będziem brali,
Ale poetów...
- Triboulet.** Zgraja obrzydła
Kpów co w końcówkach myśl zagrzebali,
Trzeba uciekać od nich najdalej,
Jak djabeł zmykać zwykł od kropidła!
- Król.** Pięciu lub sześciu.
- Triboulet.** To stajnia, panie,
To menażerja! to akademja!
Marot wystarczy sam, to me zdanie...
- Marot.** Dziękuję!
(n. s.) Niech cię pochłonie ziemia!
- Triboulet.** Kobiety królu, to raj, to niebo!...
One jedyną twoją potrzebą!...
Lecz ty masz dosyć kobiet — tak, dosyć
Masz kobiet, królu, — tak... nadto chyba,
Że chcesz uczonych na dwór zaprosić!
- Król.** Dbam o nich, niby o jabłko ryba,
(Panowie wybuchają śmiechem)
Patrz, tłum dworaków z ciebie się śmieje.
(Triboulet idzie ich posłuchać i wraca)
- Triboulet.** Nie ziemie, królu, — z innego błazna.
- Król.** Z kogóż-to?
- Triboulet.** Z króla.
- Król.** Jakiż wiatr wieje?
Cóż ich krytyka chce nieprzyjazna?



Triboulet. Mówią, żeś skąpy, że wciąż bez miary,
Złoto i łaski ślesz do Nawarry, —
Krzywdzisz ich.

Król. Widzę... grupa złożona
Z trzech: Montmorency, Montchenu, Briona

Triboulet. Tak.

Król. To są ludzie z pragnieniem djablem!
Zaprawdę jeden z nich admirałem,
Drugiemu dworu mistrzostwo dałem,
A trzeci Francji jest konetabłem,
Jakież mieć jeszcze mogą żądanie?

Triboulet. Z niewyczerpanej łask swych krynicy
Po jednej łasce rozdaj im panie...

Król. Po jakiej-że-to?

Triboulet. Po szubienicy.

P. de Pienne (do grupy trzech panów w głębi).

Triboulet nieźle szyje wam buty!

P. de Brion (patrząc na blazna z gniewem).

Tak!

Montchenu. Nędzny sługa!

Montmorency. Przyplaci mi to!

Triboulet (do króla).

Ty królu często masz czas zatruty
Przez myśl bolesną, a nieodbitą,
Bo w koło siebie nie masz kobiety,
Jakiejbyś pragnął...

Król. Zkąd sądzisz o tem?

Triboulet. Placisz swą miłość blaskiem i złotem,
A miłość płatna nie jest niestety
Prawdziwą, królu.

Król. To niby znaczy,
Że we mnie król jest tylko kochany,
A mnie się zdaje, że jest inaczej?

Triboulet. Kochaź cię która, co jej nieznany,
Co nie wie, jak cię utytułować?

Król. A tak!

(n. s.) Strzeżmy się skompromitować
Zbytecznym słówkiem tę dobrą małą,
Z zaułku Bussy.

Triboulet. Więc to mieszcanka?

Król. Być może.

Triboulet (żywo). Królu! co się stało?

Mieszcanka!.. Nieba!.. Znadto śmiało
Płaczesz się, królu! To jak Rzymianka
Dzika, i wściekle skarbów swych broni!
Nieraz zostaje blizna na dłoni,
Któża się szat jej dotknąć ośmieli..

Dobrze się panie nad tem zastanów,
I zostań królem. Dość będziemy mieli
Żon, sióstr i córek tych dobrych panów.
(wskazując grupę dworzan)

Król. Tak, trzeba skończyć z panią de Cosse...

Triboulet. Wziąć ją.

Król (śmiejąc się). To łatwo rzec, a nie zrobić.

Triboulet. Tej nocy porwiem tę jasno-włosę.

Król (wskazując p. de Cosse).

A mąż?

Triboulet. W Bastyli mu przysposobić
Mieszkanie.

Król. Nie chcę.

Triboulet. To dla ujęcia
Hrabiego w rogach, zrobim zeń księcia.
Król. On jest zazdrośny tak niesłuchanie,
Jakby mieszczanin gdzie na parafji, —
Odmówi, — krzyczeń nie poprzestanie...

Triboulet. A gruba summa... albo... wygnanie...
(od kilku chwil p. de Cossé zbliżył się z tyłu króla i błazna i
słucha ich rozmowy; — Triboulet uderza się w czoło z radością.)

A!... jeszcze środek, co łatwo trafi
Do przekonania...
(P. de Cossé zbliża się jeszcze bardziej i słucha)

Kazać ściąć głowę
Panu de Cossé!

(P. de Cossé cofa się przerażony.)

Tak dla pozorów
Podać, że zdrajcą zawarł umowę
Z Hiszpanią!

P. de Cossé (wybuchając). Szatan!

Król (śmiejąc się, uderza po plecach p. de Cossé, i mówi do
Tribouleta).

Słowo honoru!
Myślisz, że da się ściąć taka głowa?
Przyjrż się jej tylko!... patrz! patrz u kata!
Jeśli z niej wyjdzie myśl jaka nowa,
To tak śpiczasta i tak rogata...

Triboulet. Jak muszla która tę perłę chowa!

P. de Cossé. Ściąć mnie!

Triboulet. Rzecz łatwa.

Król (do Tribouleta). Pęknie ze złości!

Triboulet. Nie wolnoż jego królewskiej mości

Pozwolić sobie fantazji malej?
Doprawdy, jesteś pan doskonały!
Gdzie powód, aby nie ściąć twej głowy?

P. de Cossé. Ściąć mnie? to nadto! skarce cię błaznie!...

Triboulet. Ja się nie lękam, mówię wyraźnie!
Walcząc z możnemi ostremi słowy,
Nie mogę bać się groźby niczyjej,
Bo do stracenia cóż mam na szyi
Prócz głowy błazna?... Jeśli się boję,
To tylko tego, by garby moje
Jak jegomości nie weszły w ciało,
Bo z takim brzuchem zbrzydłbym nie mało!

P. de Cossé (chwytając za rękęjęś szpady).

Łotrze zuchwały!

Król. Wstrzymaj się panie
De Cossé... A ty, oddał się ze mną...
(odchodzi z Tribouletem, śmiejąc się.)

Gordes. Król miał zabawkę nader przyjemną.

Pardaillan. Król pękał patrząc na to spotkanie...

Marot. Jak to jest miło, moi łaskawi
Panowie, widzieć, że król się bawi.

(Po oddaleniu się króla i błazna, dworzanie się zbliżają i patrzą
za Tribouletem wrokiem gniewnym.)

P. de Brion. Panowie, trza się pomścić nad błaznem.

Wszyscy. Ho!

Marot. Lecz uderzyć go w sposób jaki?
Urząd ma — błazna, ciało — pokraki,
Jakby w odzieniu chodzi żelaznem,

Pienne. Mam sposób. Wszyscy do niego mamy
Żal, więc się mścimy.

(wszyscy zbliżając się ciekawie do p. de Pienne).

Zbrojni, o zmroku
Dzisiaj w tym celu się napotkamy
W zaułku Bussy, tam gdzie na boku
Jest dom de Cossé! Lecz sekret proszę.

Marot. Zgaduję.

Pienne. Zgoda?

Wszyscy. Tak.

Pienne. Mówmy z cicha,
Triboulet wraca.

(Wchodzi Triboulet i król, otoczony kobietami.)

Triboulet (na uboczu od innych, do siebie).

Komu u licha
Humor wesoły w tej chwili spłoszę?

Służący (wchodząc, cicho do Tribouleta).

Pan de Saint-Vallier.. starzec w żalobie,
Chce widzieć króla.

Triboulet (zacierając ręce). A! doskonale!

Pozwól nam widzieć pana Saint-Vallier

(służący wychodzi).

A! to wyborne! Wystawiam sobie,
Jaką cudowną scenę z nim zrobię!

(słychać gwar w głębi, przy wielkich drzwiach)

Głos (za sceną).

Chcę mówić z królem.

Król (przerywając swoją rozmowę).

Nie... nie .. panowie!

Tenże głos. Chcę mówić z królem.

Król (żywo). Nie!

(Starzec ubrany czarno przedziera się przez tłum, i staje przed królem, na którego patrzy uporeczywie. Wszyscy dworzanie usuwają się zdziwieni.)

Scena piąta.

Ciż sami. P. de Saint-Vallier (gruba żaloba, broda i włosy białe).

P. de Saint-Vallier (do króla). Mówić będę!

Król. Pan de Saint-Vallier.

P. de Saint-Vallier. Tak ja się zowię.

(Król postępuje ku niemu z gniewem)

Triboulet (zatrzymując króla).

Królu, niech ja nań z przemową wsiędę!

(do p. de Saint-Vallier, w pozie teatralnej)

Panie! coś przeciw naszego tronu
Uknował skrycie spisek niegodny,
I któregośmy jak król łagodny
Od niechybnego zbawili zgonu,
Jakaż to wściekłość dziś tobą miota,
Że chcesz mieć wnuki ze swego zięcia?
Lecz męża córki twojej brzydota
Przechodzi zakres ludzi pojęcia!
Wszak ma brodawkę dużą na nosie,
Jest jednoki czy zyzowaty,
Twarz mu jak małpie porasta włosie,
Brzuchal jak ten pan.
(Wskazuje p. de Cossé, który się zżyma.)

Jak ja garbaty.

Ktoby twą córkę przy nim zobaczył,
Pęklby ze śmiechu. Gdyby nie raczył
Król się wdać w sprawę, twoje wnuczęta
Byłyby jako istne małpięta,
Rude, pogięte, kuse, szczerbate,
Jak pan brzuchate,

(kłania się p. de Cossé, który się oburza)

Jak ja garbate!

Zięć twój zbyt brzydki! Zdaj się na króla,
A wkrótce wnucząt ślicznych rząd cały
U twoich kolan sobie pohula,
I włosy z brody twej będą rwały.

P. de Saint-Vallier (nie patrząc na błazna).

Jeszcze zniewaga jedna! Lecz panie
Tyś król, tyś winien dać posłuchanie!
Kiedym szedł boso, w więźniów odzieży,
Na miejsce zgonu, przysłałeś panie
Jednego z dzielnej twojej młodzieży
Z ulaskawieniem... Za darowanie
Winy i kary mej uwielbiałem
Twe imię królu, nie wiedząc wcale,
Że w łasce twojej, danej wspaniale,
Wstyd swój i hańbę otrzymać miałem.
Tak!... tyś bez względu, że krew płynąca
W mych żyłach, czysta od lat tysiąca,
Tyś, kiedym schodził z szafotu stopni,
Błagając Boga, by zwycięstw chwałą
Twe panowanie Francji jaśniało,
Tyś, królu, krzywdził mnie najokropniej!

Tyś bez litości, wstydu, obawy,
Dla podlej zmysłów twoich zabawy,
Na twoje łoża, — grób czci niewieściej,
Rzucił i zbrudził, skalał zdradziecko
Pocałunkami hańby, bezczęści
Hrabinę Brézé, Djanę, me dziecko!
I gdym ja czekał wyroku, kary,
Ty co rycerzem jesteś i księciem,
Tyś się targował z mojem dziecięciem,
He dni przeżyć ma ojciec stary!
I rusztowanieś kazał wnieść na to,
By się krwią albo brudem splamiło,
Karą cnót, albo hańby opłata,
Łóżem mej córki lub mą mogiłą!
Bóg, co cię sądzi, widział tam w górze,
Poznał, i skarci tę wyuzdaną
Rozpustę, — łaską twoją nazwaną,
Brudną w monarszej swojej purpurze.
Czyn twój monarcho był złym, i lepiej
Byłoby, gdyby resztki krwi starca
Rozlano... Siła tron króla krzepi,
Jest on potężnym, gdy winy skarca!
Lecz gdy za ojca dłonią zdradziecką
Wzięłeś kobietę, lęklive dziecko,
Kiedy ją skalał twój pocałunek,
Występnys! oddasz za to rachunek!
Zgwałciłeś tobie służące prawo...
Ojciec był twoim, ale nie dziecię!
Daleś mi łaskę!... I wy to zwiecie
Łaską!.. Ach! jakże szydziecie krwawo!
Gdybyś do mojej ciemni wszedł wprzód,

I mnie zapytał, wprost, bez obłudy,
Czy hańbę Djany, czy śmierć wybieram,
Jabym nie wołał o przebaczenie,
Rzekłbym: „Skaż panie! chętnie umieram,
„Mam śmierć za łaskę, za ocalenie
„Czystości córki i tego domu,
„Którego starą tradycją — cnota!
„Niech spadnie głowa, nim doznam sromu,
„Nim czoło skała dotknięcie błota.
„Zowią cię królem, czyż sądzisz królu,
„Że dla szlachcica, dla chrześcijanina
„Hańba jest źródłem mniejszego bólu,
„Niż śmierć, co czyste życie przecina? —
Takbym powiedział. — Nazajutrz rano,
Kiedyby ścięto tę głowę siwą,
Czulbym nad grobem mym nieszczęśliwą
Córkę płaczącą, lecz nieskalaną! —
Królu nie żądam córki od ciebie,
Bo pokalana nie ma rodziny,
W mych oczach nic jej nie zmniejsza winy,
Grób wstydu dla mnie pamięć jej grzebie,
Alem poprzysiągł, tak jak to czynię,
Gromić cię w każdej biesiad godzinie,
Dopóki ojciec, brat, lub mąż inny
Nie przyjdzie pomścić wszystkich nas razem
Będę cię gromił wciąż tym wyrazem:
„Cierp za swe winy, królu, boś winny!“
I ty mnie słuchać będziesz zmuszony,
I nie podniesiesz swojego czoła,
Aż skończę... albo aż rozwścieczony
Gniew twój na szafot znów mnie powoła, —

A gdy to zrobisz, nie kupisz sobie
Jeszcze spokoju... Upiór mój siny
Z uciętą głową stanie przy tobie,
Mówiąc: „tyś winny, cierp za swe winy!“

Król (w najwyższym gniewie).

Niech się raz skończy mowa szalona!

(do p. de Pienne)

Wziąć go!

(Na znak p. de Pienne dwóch halabardników przystępuje do p. de Saint-Vallier.)

Triboulet (śmiejąc się). Poczciwiec ma pomieszanie!

P. de Saint-Vallier (podnosząc rękę).

Bądźcie przekłęci obaj!

(do króla) O panie!

Szczujesz psy podłe na lwa, co kona!

To źle!

(do Tribouleta) Ktośkolwiek podły służalcze,

Którego język jadem przejęty,

Jeżeli ojcem jesteś, padalcze,

Bądź w swych uczuciach ojca przekłęty!

(do króla) Królu, jam starzec, mam prawo zatem

Być traktowanym z innego tonu,

Obaj jaśniejem tu majestatem, —

Tyś król, jam ojciec, a wiek wart tronu!

Na czołach naszych nosim korony,

Ty z złotych lilij, ja z włosów białych,

Tyś król, więc sam się mścisz na zuchwałych,

A ja przez Boga będę pomszczony!

(Zastona spada.)

A k t II.

Saltabadil.

(Kąt najpuściejszy zaułku Bussy. Po prawej domek tajemniczego pozoru, z podwórkiem otoczonym murem, który zajmuje część sceny. W tem podwórzu kilka drzew, ławka kamienna. W murze drzwi, wychodzące na ulicę; nieco dalej dotyka muru taras wązki, pokryty dachem, podtrzymywany przez arkady w stylu odrodzenia. Na ten taras, z którego schody wychodzą na podwórze, wychodzą także drzwi pierwszego piętra. Po lewej muru bardzo wysokie ogrodów domu p. de Cossé'a. W głębi domy oddalone, dzwonnica kościoła Sw. Seweryna.)

Scena pierwsza.

Triboulet. Saltabadil. (później) **P. de Pienne i P. de Gordes** (w głębi).

(Triboulet, obwinięty płaszczem i bez żadnej oznaki swego stantu, pokazuje się w ulicy i zmierza ku drzwiom znajdującym się w murze. Człowiek ubrany czarno i okryty płaszczem, którego koniec z tyłu unosi nieco szpada, postępuje za nim.)

Triboulet (zamyślony).

Ten starzec przeklął mnie!

Nieznajomy (z ukłonem).

Kłaniam panu!

Triboulet (odwracając się gniewnie).

Ah!... (szuka w kieszeniach)

Nie mam wcale...

Nieznajomy.

Ah! fe! mój panie,

Ja nic nie żądam.

Triboulet (robiąc znak, żeby mu dał pokój i oddalił się).

Dobrze!

(PP. de Pienne i de Gordes wchodzą i zatrzymują się w głębi).

Nieznajomy (z ukłonem).

Twe zdanie

Mylne. Jam człowiek zacnego stanu.

Triboulet (cofając się, n. s.)

Jest-że to złodziej?

Nieznajomy (zbliżając się, z miną słodkawą).

Pan mi się zdaje

Bardzo zajęтым jakoś, i codziennie

Pan się w tę stronę wieczór udaje

Jakby pilnować... kobiety...

Triboulet (n. s.)

Zbrodzień!

(głośno)

Nie mam zwyczaju zwierzać mych planów.

(chce odejść, nieznajomy go zatrzymuje).

Nieznajomy. Dla twego tylko dobra, nieznany,

Mieszam się w twoje sprawy i plany...

Być może który z wesółych panów

(ciszej)

Wymową spojrzeń żonę twą ściga,

A pana gniewa taka intryga?...

Triboulet (zniecierpliwiony).

No i cóż z tego?

Nieznajomy (z miłym uśmiechem, cicho i prędko).

Za parę fraszek

Może na tamten świat pójść ten gaszek.

Triboulet (oddychając).

Ah! to wyborne!

Nieznajomy.

Panie, pan widzi,

Żem człowiek zacny, co się złem brzydzi.

Triboulet. Oh!

Nieznajomy. Jeśli pilnie za panem łączę,
To jest jedynie w dobrym zamiarze.

Triboulet. Tak, pewnie.

Nieznajomy (skromnie). Jestem strażnikiem cześci
Mężowskiej, oraz cnoty niewieściej.

Triboulet. Ileż kosztuje jedno sprzątnięcie?..!

Nieznajomy. Według osoby, oraz sposobu!

Triboulet. A tak naprzykład posłać do grobu
Wielkiego pana?..

Nieznajomy. To przedsięwzięcie
Dość ryzykowne, — ci bowiem ludzie
Noszą broń... zwykle dość mają ducha,
Mogą wpakować szpadę do brzucha, —
O własne życie gra się w tym trudzie.
Pan jest dość drogi.

Triboulet. Pan jest dość drogi!
Lecz to jedyna twoja praktyka,
Wszakże mieszczaństwo pewnie unika
W swych marnych waśniach podobnej drogi.

Nieznajomy (z uśmiechem).
O! i u mieszczan to się wydarza,
Choć zwykle zbytek ten się uważa
Jako przywilej wyższego stanu.
W mieszczaństwie nieraz, powiadam panu,
Są ludzie, którzy za wielkie sumy,
Marnie rzucone, chcą panom sprostać.
U takich można roboty dostać,
Lecz ja się śmieję z ich głupiej dumy. —

Zapłaty biorę połowę z góry,
Połowę potem...

Triboulet (wstrząsając głową). Więc cię nie trwoży
Obawa stryczka?... męki, tortury?..

Nieznajomy (z uśmiechem).
O nie!... polieji płacę niezgorzej!

Triboulet. Od sztuki pewnie?

Nieznajomy. Tak!... z zastrzeżeniem,
Że mogę sprzątnąć z czystym sumieniem
Wszystkich, prócz... króla.

Triboulet. Jakże do tego
Bierzesz się?

Nieznajomy. Wedle życzeń każdego,
I jak dogodniej zdaje się komu.
Sprzątam na mieście lub u mnie w domu.

Triboulet. Wielceś usłużny.

Nieznajomy. Na miasto biorę
Porządną szpadę, — w zasadzce stoję,
Gdy człowiek wyjdzie w wieczorna porę...

Triboulet. A jakże w domu się to udaje?..

Nieznajomy. Mam siostrę.. imię jej Magelona...
W dzień po ulicach tańczy, a w nocy,
Wprzód o osobie zawiadomiona,
Sprawdza gacha... Gdy raz w mej mocy
Jest, to...

Triboulet. Rozumiem.

Nieznajomy. Mam przeświadczenie,
Że bez hałasu i przyzwocioie
Pracuję.. Daj pan swoje zlecenie,

A ja wywiążę się znakomicie.
Choć nie mam sklepu, szyldu ni godła,
Lecz przedewszystkiem w mojem zajęciu
Nie jestem taki, jak tłuszcza podła,
Co się za jednym czai w dziesięciu,
Ze sztyletami... Zgraja znędzniała!
Takich za złoto dostanie wszędzie,
Lecz ich odwaga jak broń ich — mała,
(wyciąga z pod płaszcza miecz bardzo długi)
A patrz pan, oto moje narzędzie,
(Triboulet cofa się przestraszony.)
Na twe usługi.

Triboulet (oglądając miecz ze zdziwieniem).

A! tak!...

(po pauzie)

W tej chwili

Nie potrzebuję nic!

Nieznajomy (kładąc miecz do pochwy).

Ha! tem gorzej!

Jeśli bieg rzeczy tak się ułoży,
Że zechcesz byśmy się zobaczyli,
Ja zwykłem krążyć codzień w południe,
Gdzie hotel Mainu, koło rotundy...
Rozkaż, a z chęcią wnet się zatrudnię, —
Jam Saltabadil.

Triboulet.

Cygan?

Saltabadil (kłaniając się).

Z Burgundji.

P. de Gordes (n. s. do p. de Pienne, zapisując na tabliczkach,
w głębi sceny).

Kosztowny człowiek! zapiszmy sobie!

Saltabadil (do Tribouleta).

Panie, nie zechciej źle sądzić o mnie...

Triboulet. Nie. Wszak potrzeba, aby żyć skromnie,
Mieć jakiś przemysł.

Saltabadil.

Ja też tak robię,

Wolę, niż żebrać lub być próżniakiem.
Mam dzieci czworo...

Triboulet.

Dla których trzeba

O wychowaniu pomyśleć jakim...

(odprawiając go)

Niech cię wesoło prowadzą nieba!

P. de Pienne (do p. de Gordes, w głębi, wskazując na Tribouleta).

Zbyt widno jeszcze, — spostrzedz nas może!

(óbaj wychodzą)

Triboulet (do Saltabadila).

Bądź zdrow więc.

Saltabadil (kłaniając się).

Adje! kłaniam w pokorze!

(wychodzi)

Triboulet (patrząc za nim).

Obaj na równej stoimy skali,
Zły język ostrej równym jest stali,
Ja wciąż wysmiewam, a on zabija,
Ha! nie wiem czyja broń gorsza... czyja?...

Scena druga.

Triboulet (sam).

(Po wyjściu Saltabadila Triboulet otwiera cicho drzwi znajdujące się w murze, spogląda ostrożnie naokoło, potem wyciąga klucz z zamka, i starannie zamknąwszy drzwi wewnątrz, postępuje kilka kroków w podwórze, stroskany i zamyślony.)

Ten starzec przeklął mnie!... kiedy wołał:
„Nędzny służalcze, bądź mi przeklęty!”
Jam się śmiał z niego, jam sztydzić zdołał,
Teraz mój umysł przestraczem ścięty!

(siada na ławce kamiennej)

Przeklął mnie!

(głęboko zamyślony z ręką na czole).

Losy swem nieprzyjaznem
Działaniem wciąż mnie tarzają w błocie!
Jam zły, okrutny, podły w istocie, —
Jestem pokraką... zgrozo!... i błaznem!
Ta myśl mnie trapi we śnie, na jawie,
Kiedy sam marzę, gdy innych bawię,
Brzmi głos ten: „jesteś błazen nadworny!”
Prócz błazeństw nie módz nic, i nie robić,
Na twarzach panów wciąż uśmiech złościć,
Jakiż to nadmiar hańby potwornej!
Żołnierze w grupie hasłem zwołanej,
Okolo szmaty sztandarem zwanej,
Niewolnik w Tunis, żebrak w Hiszpanji,
I galernicy w pęta skowani,
I każdy człowiek w świecie ma prawo
Nie śmiać się — płakać, gdy w sercu krwawo,
A ja go nie mam wcale... O Boże!...

Tak często smutny i w złym humorze,
Kiedy mi ciasno w tem krzywym ciecie,
Kiedy zazdrozczę siły, piękności,
Klnąc blask dokoła, gwar i wesele,
Szukam ustronia i spokojności,
Jaką mi kradną władcy, bogacze;
I gdy ma dusza łzami krwi płacze...
Wtem pan nadchodzi, mój pan wszechwładny,
Władca, kochany, zadowolony,
Król Francyi, człowiek silny i ładny,
Bezkształtną postać, co niewyraźnie
Widnieje w cieniu, potraça nogą,
Mówi ziewając: „No baw mnie, błaznie!”
Błaznie!... Ah! jakże to brzmi złowrogo!
Jest-że człowiekiem błazen na dworze?...
On wtedy maską twarz swą przykrywa,
Całe namiętnych uczuć swych morze,
Zawiść i wściekłość, co pierś rozrywa,
Dumą, żal, gniew swój i oburzenie,
Wieczne o strasznej zemście marzenie,
Rój czarnych myśli, co szarpia łono,
I godność ludzką, którą kupiono,
Wszystko to tłumi w głębi swej duszy,
I wszystkich w koło śmiesz y i bawi!
Stan podły!.. Gdziebądź nogę postawi,
Gdzie pójdzie, stanie, gdzie się poruszy,
Wszędzie sprężyna jedna nim włada, —
Najem i rozkaz. — Wciąż pogardzany!...
Wszystkich rozśmiesza jego szkarada!...
O wy! wesole i świetne pany,
Co się znęćacie w ciżbie tak mnogiej

Nademną... Wiecie-ż, jacyśmy wrogi?
Jak nieraz drogo płacić musicie
Swą dla mnie wzdargę. Jak wasze ciosy
Odbijam zręcznie! Jak umiem skrycie
Wpływać u króla na wasze losy.
Jam jest u pana czarnym szatanem
Waszym, — i skoro sposobność chwycę,
Przewracam dolę waszą na nice,
Jednem swem słowem, zręcznie poddanem,
Robię to chętnie;— służy mi prawo,
Bo, że zły jestem, waszą to sprawą!
Lecz o boleści! jestże to życie
Łać zółc do wina, co innych spaja,
Każdą chęć dobrą zabijając skrycie,
A gdy się umysł w siłę uzbraja,
Głuszyć go dzwonkiem! Przebiegać co dnia
Jako zły genjusz uczy i bale,
Podżegać innych, by grzęźli w szale
Rozpusty... zgrozo!.. i ręką zbrodnia
Rujnować szczęście szczęśliwych — z nudów!
Nie mieć pragnienia prócz zguby cudzej,
I za cel wszystkich pokładać trudów,
Żeby przezemnie cierpieli drudzy!..
Oh! cierpię dolę twardą i biedną!..

(powstaje z ławki)

Lecz tutaj zresztą wszystko mi jedno,
Kiedy przestąpię te drzwi, to sądzę,
Żem inny człowiek. O! nie potrzeba
Wnosić nic z zewnątrz do tego nieba!

(Wpadając znów w marzenie.)

Ten starzec przeklął mnie!... Czemu błędę
Wciąż przy tej myśli? czemu nie mogę
Wygnać jej? Czemu wciąż czuję trwozę?

(Wzruszając ramionami)

Czyż-bym oszalał?

(Idzie do drzwi domu i puka. Drzwi otwierają się, wychodzi młoda dziewczyna ubrana biało i rzuca się radośnie w jego objęcia.)

Scena trzecia.

Triboulet. **Blanka,** (później) **Pani Bérarde.**

Triboulet.

Córko! me dziecię!

(ściska ją z uniesieniem)

Obejmij dłońmi swemi mą szyję,
Ściśnij!.. Przy tobie nic mnie nie gniecie,
Jestem szczęśliwy, czuję że żyję.

(przygląda się jej w upojeniu)

Codzień piękniejszaś, moja kochanko,
Powiedz, czy dobrze ci tu? czy czego
Ci nie brakuje?... ściskaj mnie Blanko!

Blanka (w jego objęciach).

Kochany ojcze!..

Triboulet (siadając).

Tyś życia mego

Życiem. Ty wlewasz krew w moje żyły,
Gdyby mi nieba cię odmówiły,
Czem byłbym, Boże!

Blanka (kładąc mu rękę na czoło). Wzdychasz! cierpienie

Jakieś cię trapi, zwierż je przedemną..
Radabym zgadnąć twoje zmartwienie,

Lecz wszystko kryjesz zasłoną ciemną,
Nie znam rodziny.

Triboulet. Nie masz jej wcale.

Blanka. Nawet mi imię twoje nieznane...

Triboulet. A co ci po niem dziecię kochane?

Blanka. I przypominam dziś doskonale,
Że mnie tam w Chinon ci ludzie, co to
Mnie wychowali, i ich sąsiadki,
Przed twem przybyciem zwali sierotą!

Triboulet. Tak być musiało po śmierci matki...
A nawet teraz... Lecz trudno było
Żyć tu bez ciebie... Serce tęskniło...
(ściska ją znowu)

Blanka. Jeśli mi nie chcesz mówić o sobie...

Triboulet (przerwywając).
Nie wychodź nigdy!

Blanka. Tak właśnie robię.
Odkąd tu jestem, od dwóch miesięcy,
Tylko w kościele byłam — nie więcej,
Jak ośm razy...

Triboulet. Dobrze.

Blanka. Jeżeli
Nie chcesz o sobie!... obdarz mnie troszką
Wspomnień najdroższych o matce mojej —

Triboulet. Oh! po co budzisz tę pamięć gorzką!
Nie przypominaj, że mi los zdarzył
Znaleźć na świecie taką istotę...
Oh! gdyby nie ty, rzekłbym, że marzyłam,
Co widząc moją nędzę, brzydotę,

Moje kalectwo, samotność moją,
Z litości serce dała mi swoje!
Bóg ją powołał do bram wieczności
Wraz z tajemnicą o jej miłości,
Co, jako odbłask raju weselny,
Zalśniła w mojej doli piekielnej.
Niech ziemia, co nas przyjąć gotowa,
Nie będzie ciężką dla tego łona,
Na którym moja spoczęła głowa!
Tyś mi została.

(podnosząc oczy do nieba)

Tam moja żona!

(zakrywa twarz rękami i płacze.)

Blanka. Ojczy! daj pokój łzom i żalobie,
Na płacz twój patrzeć serce mi pęka!

Triboulet. A gdybym w bólu, który mnie nęka,
Wybuchnął śmiechem!

Blanka. Ojczy, co tobie?
Zwierz córce twojej duszy swej burzę,
Powiedz swe imię.

Triboulet. O! nie powtórzę
Mego imienia przed tobą dziecię,
Dość, żeś mój ojciec. Tam dalej, w świecie,
Przedemną może drży jednych zgraja,
Tłum innych gardzi mną lub przeklina...
Na co ci imię, córko jedyna?
Tu, gdzie obecność twa mnie upaja,
Tu, gdzie niewinne wszystko w około,
I wszystko czyste, jak twoje czoło,
Tutaj, w jedynym kątku na świecie,

Niech będę tylko ojcem, me dziecko,
Ojcem jedynym, ojcem kochanym,
Czczonym i świętym i nieskalanym
Dla ciebie...

Blanka. Ojczy!

Triboulet (ściskając ją z uniesieniem).

Gdzież wśród ludzi
Znalazłem serce podobne tobie?
Kocham cię, — reszta świata wstręt budzi...
Chodź... mówmy o tem... usiądź tu sobie...
Mów, że mnie kochasz, jam przyjąć gotów
Twoje uściski i twoje słowa...
Po co nam szukać innych przedmiotów,
To tylko szczęście niech Bóg uchowa!
Innym, przyjaciół, braci, rodzinę,
Dał Bóg... małżonków, krewnych i sługi, —
Tyś tylko moje szczęście jedyne...
Inny ma skarby, pałace, cugi,
Tyś moim skarbem... Ów wierzy w Boga,
A moją wiarą tyś Blanko droga!...
Ci młodzi gonią za wzajemnością,
Za blaskiem, dumą, wdziękiem, zaszczytem,
Jam stary, tyś mi pięknem, młodością,
Rodziną, krajem, prawem i bytem,
Wszehświatem, słońcem, szczęściem; tyś jedna!
Prócz ciebie nie ma nic dusza biedna!...
Gdybym cię stracił. Oh! nigdy o tem
Myśleć nie mógłbym ani na chwilę!...
Uśmiechnij mi się... O! ty tak mile
Śmiejesz się!... Baw mnie twoim szczebiotem,

Tyś portret matki, a ona była
Tak piękną... Właśnie tak samo ona
Włosy cesała i w sploty wila,
Ty świecisz dla mnie rozpromieniona
Anielskim ogniem, i przez twe ciało
Dusza ma twoją duszę spostrzeża;
Gdy w koło ciemność myśl mą oblega,
Słońce twych spojrzeń dzień w niej rozlało!

Blanka. Oh! jabym chciała być szczęściem twojem!

Triboulet. Co? ja przy tobie, jam tak szczęśliwy!
Oddycham takim błogim spokojem...

(bawiąc się jej włosami, z uśmiechem).

Włos kruczy, miękki, a połyskliwy,
Ktoby to ślaś?... tak miałaś jasną
Główkę za młodu...

Blanka (pieszcząc się z ojcem). Tu nieco ciasno,
Mogłabym czasem, nim światła zgasną,
Wyjść i zobaczyć Paryż ruchliwy —

Triboulet (gwałtownie).
Nigdy. przynigdy!... Powiedz mi szczerze,
Czyś z panią Bérarde nie wychodziła?

Blanka (przelekniona).
Nie,

Triboulet. Strzeż się!

Blanka. Tylkom w kościele była.

Triboulet. Dobrze.

(n. s.) Ktokolwiek chętki nabierze
Iść za nią, śledzić, porwać... o nieba!

To córka błazna, to nie potrzeba
Z nią ceremonji wcale!... o Boże!!
(głośno) Zostań zamkniętą tak, jak w klasztorze!
Gdybyś wiedziała, jakie niezdrowie
Jest w murach miasta, a po ulicy
Jak często włóczą się rozpustnicy
Zuchwali, podli, zwłaszcza panowie. —

(wznosząc oczy do nieba)

O Boże! skryj w tym cichym domu
Od wichrów burzy, od tchnienia sromu,
Kwiat słaby!... zasłoń potężną dłonią,
By biedny ojciec w swobodnej chwili
Mógł tu odetchnąć czystiej i milej,
Pojąc się jego blaskiem i wonią!

(zasłania twarz rękami i płacze)

Blanka. Już nigdy więcej ojciec nie wspomnę
O tem, lecz nie płacz.

Triboulet. To nie w mej mocy!

Lżej mi... tyle się śmiałem tej nocy!

(wstając)

Ha! zapomnienie nazbyt ogromne!
Blanko, nie mogę pozostać dłużej,
Bądź zdrowa. Wracam do mej obróży.

(ściemnia się).

Blanka (ściskając go).

Powrócisz prędko? powiedz...

Triboulet.

Kochanie,

Nie wiem, bo widzisz, nie jest mi danem
Być moich pragnień i woli panem.

(woła)

He! pani Bérarde!... proszę...

(stara kobieta pokazuje się we drzwiach domu).

Pani Bérarde.

Co, panie?

Triboulet. Czy, jak ja wchodzę, nikt tu nie zmierza?.

P. Bérarde. Ma się rozumieć!.. w takie pustkowie!

(Jest prawie noc. Z drugiej strony muru w ulicy pokazuje się król,
przebrany w odzież prostą ciemnego koloru; przygląda się drzwiom
zamkniętym, i mierzy okiem wysokość muru, z oznakami niespokoj-
ności i niezadowolenia).

Triboulet (trzymając Blankę w objęciu).

Niech ci Bóg daje pokój i zdrowie.

(do p. Bérarde)

Czy wciąż zamknięte drzwi od wybrzeża?

(pani Bérarde potwierdza skinieniem)

Dzisiaj poza Saint-Germain widziałem
Dom ustronniejszy... Jutro go zgodzę.

Blanka (wskazuje taras).

O! tu tak dobrze z tem wzgórzem małym,
Zkąd widać ogród...

Triboulet (spiesznie).

Chodzisz tam?

Blanka.

Chodzę.

Triboulet. Nie chodź tam dziecię nigdy.

Blanka.

Dla czego?

Triboulet (słuchając).

Ktoś chodzi!

(Idzie do drzwi w murze, otwiera je i patrzy z niepokojem w ulicę.
Król się chowa w framudze blisko drzwi, które Triboulet zostawia
odemknięte).

Blanka (wskazując taras). Ojciec! nie można iść na to wzgórze
Wieczorem spocząć?... tam drzewa, róże
Widać...

Triboulet (powracając ode drzwi).

Nie chodź tam, bo cię spostrzeżę!

(Podczas gdy Triboulet jest odwrócony tyłem, król się wsuwa przez drzwi niedomknięte, i ukrywa się za grubym drzewem).

(do pani Bérarde)

Wieczorem w oknie świecić nie można.

Pani Bérarde (załamując ręce).

A któżby tutaj wszedł? w jaki sposób?...

(Ogląda się i spostrzeżę króla po za drzewem. Przerывa sobie przestraszona i chce krzyknąć. Król rzuca jej sakiewkę, którą ona bierze, waży w rękę i zachowuje milczenie.)

Blanka (do Tribouleta, który chodził obejrzyć taras z latarnią).

Czemu mam ojca być tak ostrożna?

Powiedz mi, jakich boisz się osób?

Triboulet. Wszystkich dla ciebie, dla mnie nikogo!

(ściska ją jeszcze raz)

Bądź zdrowa Blanko...

(światło latarni trzymanej przez panią Bérarde oświeca Tribouleta i Blankę).

Król (n. s. po za drzewem).

Błazen!

(śmiejąc się)

U czarta!

To jego córka!... rzecz milion warta!

Triboulet (chce wyjść, lecz wraca jeszcze).

I do kościoła gdy idziesz, mogą

Cię ujrzeć Blanko! Czy do tej chwili

Już na cię oczu swych nie zwrócili?

Nikt cię nie ściga?...

(Blanka spuszcza oczy zakłopotana.)

Pani Bérarde (z pośpiechem).

Nikt!

Triboulet.

Gdy odważy

Się kto was śledzić, krzycz!

Pani Bérarde.

Wezwę straży!

Triboulet. Gdyby kto stukał, co bądź się zdarzy!

Nie otwórz... pomnij o tym zakazie!

Pani Bérarde (tonem zapewnienia).

Gdyby król nawet!

Triboulet.

Zwłaszcza w tym razie!

(ściska po raz ostatni Blankę i wychodzi, zamykając drzwi za sobą).

Scena czwarta.

Blanka, Pani Bérarde, Król (podczas pierwszej części sceny ukryty za drzewem).

Blanka (zamyślona, słuchając kroków odchodzącego ojca).

Mam jednak wyrzut...

Pani Bérarde.

Wyrzut? dlaczego?

Blanka.

Rzecz drobna nawet budzi obawę

W mym ojcu; idąc, oczy miał łzawe,

Trza było wyznać, że za każdego

Wyjścia w niedzielę za nami chodzi

Ten młody człowiek.

Pani Bérarde.

A! czyż się godzi

Pleść takie rzeczy!... ojciec twój dziki,

I oryginał, robiłyby krzyki...

Czyż nienawidzisz tego młodziana?

Blanka.

Czy nienawidzę?... Moja kochana

Bérarde... bynajmniej; owszem od chwili,

Jak go widziałam, jak jego oko

Spotkało moje, jakoś mi milej

• Na świecie... rzeźwo.. pięknie... szeroko...
Wciąż on przedemną w myślach mych staje,
Wyższy od innych najmniej o głowę,
Jak słodką musi on mieć wymowę,
Jak się na koniu pięknie wydaje!

P. Bérarde. To prawda, że ma śliczne spojrzenie.

(Zbliża się do króla, który jej daje garść sztuk złota.)

Blanka. I że mieć musi...

Pani Bérarde (za każdym słowem wyciąga rękę do króla, który jej daje pieniądze).

Ramię niezłomne.

Blanka. Z ócz jego widać uczuć płomienie,
A serce...

Pani Bérarde (j. w.). Serce — to ma ogromne!

Blanka. Waleczny.

Pani Bérarde (j. w.). Dzielny!

Blanka. Lecz dobry.

Pani Bérarde (j. w.). Czuly!..

Blanka. Szlachetny.

Pani Bérarde (j. w.). Bardzo godna osoba!

Blanka (z głębokim westelnieniem).

On mi się bardzo — bardzo podoba!

Pani Bérarde (ciągle manewrując tak samo).

Jaki wzrost ma!... jakie muszkuły!...

Nos!... oczy!... czoło!...

Król (n. s.). Coś mi się zdaje,

Że nim mnie w cząstki stara pokraje,
Zbraknie pieniędzy!...

Blanka. Jesteś poczciwa,
Chwaląc go, Bérarde!

Pani Bérarde (j. w.). On zasługuje!

Król (n. s.) Stara oleju do ognia wlewa...

Pani Bérarde (j. w.).

Jest dobry, czuly, oko porywa,
Dzielny!...

Król (wypróżniając kieszenie).

Do djabła! znów recytuje

Z początku!

Pani Bérarde (j. w.). Musi być wielkim panem,
Chodzi w ubraniu dystygowanym;
Takie maniery ma przyzwoite,
I rękawiczki złotem wyszyte.

(Wyciąga rękę, król robi znak, że już nie ma).

Blanka. O nie! ja nie chcę księcia lub pana,
Jabym wolała tego młodziana,
Gdyby był biednym uczniem z parafji,
To pewno lepiej kochać potrafi.

P. Bérarde. Jest pewno taki, jak twe życzenie...

(n. s.) A to dopiero gust gęsi głupiej!...

(próbując jeszcze wyciągnąć rękę)

(głośno) I on cię musi kochać szalenie...

(król nie daje nic)

(n. s.) Goły!... dość pochwał! chce, niech je kupi.

Blanka (ciągle niewidząc króla).

Zawsze mi tęskno tak do niedzieli,
Gdy go nie widzę... nic mi nie miło...

Raz już myślałam, że się ośmieli
Przemówić do mnie... serce mi biło!...
Myśl moja o nim dzień i noc marzy,
Jam pewna, że on toż samo czuje,
Że ma w swej duszy obraz mej twarzy...
O! tak być musi, ja go pojmuję!
Niczem dla niego inne kobiety,
Nudzą go uczy, bale i fety,
Wciąż myśli o mnie!...

Pani Bérarde (nie mogąc wytrzymać, raz jeszcze wyciąga rękę do króla).

Tak, klnę się głową!

Król (n. s. — zdejmując pierścień i daje jej).

Za głowę pierścień masz stara sowo!

Blanka. O! jabym chciała, gdy dusza marzy
O nim w dzień, w nocy, mieć obok siebie
Chociaż cień jego postaci, twarzy,

(Król wychodzi z ukrycia i klęka przed nią, Blanka kończy, patrząc w inną stronę).

By mu rzec: ja ko...

(Odwraca twarz, i spostrzegając króla, przerywa sobie skamieniała).

Król (wyciągając do niej rękę). Ja kocham ciebie!
Dokończ, ah! dokończ! usta twe mogą
Wzniesić mnie do szczytu szczęścia i chwały...

Blanka (przestraszona szuka oczyma pani Bérarde, która zniknęła).

Bérarde!... o Boże!... nie ma nikogo!

Król (klęcząc). Dwoje kochanków, to jest świat cały!

Blanka (drżąc). Panie, zkąd tutaj...

Król. Z piekła czy z nieba,
Czym Gabryelem czyli też szatanem,
Gdy kocham — czegoż więcej ci trzeba?

Blanka. O nieba! czyś pan nie był widzianem?
Gdyby mój ojciec... Wyjdź pan!...

Król. O dziecię!
Wyjść, gdy w objęciu trzymam cię drżącą,
Gdym twój, gdyś moja, gdym cię mówiącą
Słyszał, że kochasz... o! za nic w świecie!

Blanka (zmieszana).

Słyszał mnie! Boże!...

Król. Tak, bezwątpienia,
Jakież cudniejsze usłyszę pienia
Nad głos twój!...

Blanka (błagając). Wyjdź pan!

Król. Wyjść! gdy niebiosy

Dały nam wzajem złączyć swe losy,
Gdym twoje serce zbudził do bicia,
Gdy kapiesz oko twoje i duszę
W blasku miłości, tej zorzy życia...

Ja mam wyjść wtedy?... nie!.. zostać muszę!

Królom śmierć daje berło, śmierć bierze,

Przelotną chwałę gonią rycerze,

Majątek często z ręki uciecze,

Wszystko to marne rzeczy człowiecze!

Jedna rzecz tylko boska na ziemi,

A tą jest miłość z czary swoimi.

Blanko! ja szczęściem pragnę być twojem.

Życie jest kwiatem, miłość w nim miodem,

Na silnem drzewie spiętym powojem,

Przy dzielnym orle ptaszcęciem młodem,
Motylem, który za różą goni,
I drżącą dłonią w gorącej dłoni!...
Kochaj mnie!

(chce ją uściskać)

Blanka (broniąc się). Puść pan!

(Król przemocą zdobywa pocałunek.)

Pani Béarde (n. s. w głębi, na tarasie). Idzie niezgorzej!

Król (n. s.) Zdobyta!

(głośno) Powtórz! powtórz to słowo!

Pani Béarde (j. w.).

Nicpoń!

Król. O powtórz!

Blanka (spuszczając oczy). Pocóż na nowo

Mówić!... pan słyszał...

Pani Béarde (j. w.). Niezbyt się sroży!

Król (ściskając ją na nowo, z uniesieniem).

Jam szczęśliwy!

Blanka. Jestem zgubiona!

Król. Nie!... ciesz się ze mną!... szczęśna!... wielbiona!

Blanka (wrywając się z objęć króla).

Obeys pan dla mnie... Gdybym choć znała
Twe imię...

Pani Béarde (j. w.). Ot bym o tem myślała!

Blanka. Przynajmniej możliwym nie jesteś panem!

Mój ojciec o nich mówi ze wstrętem.

Król. O nie! ja jestem...

(n. s.) Szkoda, żem z planem

Nie przyszedł!

(po chwili kończąc) Gaucher Makiet... studentem
I bardzo biednym!...

Pani Béarde (licząc otrzymane pieniądze).

Łże jak najęty!

(Wchodzą w ulicę pp. de Pienne i de Pardaillan obwinieci w płaszcz, z latarką ciemną w ręce.)

Pani Béarde (cicho do p. de Pardaillan).

Tu kawalerze!

Pani Béarde (cicho, schodząc śpiesznie z tarasu).

Słychać na dworze

Szmer jakiś!

Blanka (przestraszona). Wraca mój ojciec może!

Pani Béarde (do króla).

Idź pan!

Król. Przerywa jakiś zdrajca przeklęty!

Gdybym go dostał!...

Blanka (do pani Béarde). Wyprowadź pana

Przez tamte boczne drzwi, na wybrzeże.

Król (da Blanki).

Już cię opuścić Blanko kochana!...

Kochasz mnie?

Blanka. A pan?

Król. Zawsze i szczerze!

Blanka. Ach! to mnie zwiedziesz, jak ojca zwodzę..

Król. Nigdy!... Raz jeszcze na twoje oczy

Złożę mój uścisk i już odchodzę!...

Pani Béarde (n. s.)

Ma na całusy apetyt smoczy!

Blanka (opierając się słabo).

Nie!

(Król całuje ją i wychodzi z panią Béarde przez dom, Blanka zostaje czas jakiś z oczyma wlepionymi w drzwi, przez które król wyszedł. Tymczasem na ulicy gromadzą się panowie uzbrojeni, w płaszczach, zamaskowani. Oprócz pp. de Pienne i de Pardaillan przybywają pp. de Gordes, de Cossé, de Montchénu, de Brion, de Montmorency i Klemens Marot. Noc jest bardzo ciemna. Latarka ciemna tych panów jest zamknięta. Dają sobie wzajemnie znaki dla poznania się i pokazują sobie dom Blanki. Towarzyszy im lokaj niosący drabinę.)

Scena piąta.

Panowie (później) **Triboulet** (później) **Blanka**.

Blanka (weszła do domu, po chwili wychodzi przez drzwi pierwszego piętra na taras, trzymając światło, które oświeca jej twarz).

Gaucher Makiet! to imię jego,
Niechaj się w sercu mojem wryje,
Niechaj to serce dlań tylko bije..

P. de Pienne (do innych).

Ona!

P. de Pardaillan. Zobaczmy, co to takiego.

P. de Gordes (pogardliwie).

Mieszczkańska pięknosc!...

(do p. de Pienne) Ja cię żałuję
Książę!.. któż w córkach mieszczan gustuje!
(W tej chwili Blanka się obraca, tak że panowie mogą ją widzieć.)

P. de Pienne (do p. de Gordes).

Jak ją znajdujesz?...

Marot.

O! kąsek ładny!

Gordes. Lecz to jest anioł! wieszczka i gracia!

Pardaillan. I jej kochankiem błazen szkaradny!

To grzech!

Gordes.

To hańba!

P. de Brion.

To profanacja!

Marot.

Trza najpiękniejszą dać najbrzydszemu.

Tak Jowisz lubi krzyżować rasy!

(Blanka wchodzi do domu. Widać światło w oknie.)

Pienne.

Panowie! tracim czas na grymasy!

Mieliśmy dowieźć błaznowi temu,

Że go ukarać możemy, i po to

Przyszliśmy tutaj późną godziną

Z uczuciem zemsty, oraz drabiną, —

Czas więc się zająć naszą robotą!

Mur ten przesadzić nie będzie trudno,

Chodźmy więc prędko, wykradniem cudną,

Wniosiem do Luwru błazna wybraną,

A król jegomość znajdzie ją rano..

P. de Cossé. Król pokosztuje smacznego kąska!

Marot. Djabeł dokończy, co my zaczniemy!

Pienne. Dobrze! do dzieła!

Gordes.

A w rzeczy samej

To dziewczę cudne, — królewska gaska!

(Wchodzi Triboulet.)

Triboulet (zamyślony, do siebie, w głębi).

Powracam... czemu?... ja nie wiem po co!...

P. de Cossé (do innych).

Więc znajdujecie dobrem panowie,

Że król tak wszystkim zdradą, przemocą,

Zabiera żony?... Niech mi kto powie,
Coby rzekł, gdyby chciał kto z królową
Tak zrobić?..

Triboulet (j. w. postępując kilka kroków).

Przeklął!... okropne słowo!...
Starzec mnie przeklął!..- coś mnie przeraża!
Drzę o mój sekret, o szczęście moje!...

(Noc jest tak ciemna, że nie spostrzega p. de Gordes i potrąca się
o niego).

Kto tam?

P. de Gordes (powraca przestraszony i mówi cicho do innych).

Triboulet!

P. de Cossé (cicho). Dobrze się zdarza!
Zabijmy zdrajcę!

P. de Pienne. Ah! fe! rozboje!

P. de Cossé. Mamy go! Skończmy raz z tą niecnotą.

Pienne. No! jutro drwićby z kogo nie było!

Gordes. Figielby nie był tak śmieszną psotą!...

P. de Cossé. Lecz on przeszkodzi wykraść swą miłą.

Marot. Zdajcie się na mnie... w sieć go obmotam.

(zbliża się do Tribouleta, który przestraszony zatrzymał się i czeka
nasłuchując.)

Ha! Triboulecie! witamy.

Triboulet (głosem strasznym). Kto tam!

Marot. No, no nie połknij mnie... to ja...

Triboulet. Kto? ty?

Marot. Marot.

Triboulet. Ah! prawda, lecz wśród ciemnoty
Trudno rozpoznać...

Marot. Czart sobie z nieba
Zrobił kałamarz... tego nam trzeba!

Triboulet. Dla czego?

Marot. Łatwo Triboulet zgadnie,
Na co potrzebne chmurne niebios...
Kradniem dla króla żonę Cossé'a!

Triboulet (oddychając).

A! tak!... doprawdy!... to bardzo ładnie!

P. de Cossé (n. s.)

Radbym go chociaż trochę wychłostać!...

Triboulet (do Marota).

Lecz do pokoju jej jak się dostać?

Marot (n. s. do p. de Cossé).

Daj mi klucz!

(P. de Cossé daje mu klucz, który on oddaje Tribouletowi.)

Patrzaj!... klucz... za dotknięciem

Poznasz wyrżnięte herby...

Triboulet (macając klucz). W istocie!

(n. s.) A jam się lekał w mojej głupocie!

(głośno, pokazując mur na lewo)

Oto dom Cossé'a.

(n. s.) Jakiem bydlęciem

Jestem, żem nie zgadł!

(do Marota, oddając mu klucz)

Więc brzuchaczowi
Wykradać żonę wyście gotowi?...
Łączę się chętnie z tem przedsięwzięciem.

Marot. Wszycyśmy w maskach.

Triboulet. Dajcież mnie maski!

(Marot mu kładzie maskę i dodaje do niej przepaskę, którą mu za-
wiązuje na oczy i uszy)

A teraz?

Marot. Będziesz trzymać drabinę.

Triboulet (trzymając drabinę).

Gdybym mógł widzieć choć odrobinę.

Marot. Noc taka ciemna pod tę godzinę.

(do innych śmiejąc się)

Nie dbajcie na nic, nawet na wrzaski,

Jeśli nie można ułatwić ciszej,

On nic nie widzi i nic nie słyszy.

(Panowie wchodzą na drabinę, wysadzają drzwi prowadzące z tarasu
na pierwsze piętro i wchodzą do domu. W chwilę potem jeden
z nich pokazuje się na podwórzu przez drzwi dolne, potem grupa
cała schodzi na podwórze i przechodzi przez drzwi unosząc Blankę
rozebraną, zakneblowaną i opierającą się bezskutecznie.)

Blanka (w oddaleniu).

Ratunku! ojcze!... ojcze!... pomocy!...

(wszyscy znikają z Blanką)

Głosy (w oddaleniu).

Zwycięstwo!

Triboulet (sam, u stóp drabiny).

Czyściec znoszę tej nocy!

Tak długo!... Strach mnie wziął niepojęty!...

(Puszcza drabinę, podnosi rękę do maski i natrafia na przepaskę.)

Związał mi oczy!...

(Zrywa przepaskę wraz z maską. Przy świetle ciemnej latarki, zapo-
mnianej na ziemi, spostrzega coś białego, podnosi i spostrzega za-
ślonej swojej córki; odwraca się — drabina jest przypartą do muru
jego domu, drzwi otwarte, wchodzi tam jak wściekły, i pokazuje się
po chwili wlokąc panią Béarde zakneblowaną w nocnem ubraniu.
Patrzy z osłupieniem, potem wrywa sobie włosy, wydając kilka
krzyków niewyraźnych. Nareszcie odzyskuje głos.)

Oh! jam przekłęty!

(pada omdlały).

(Zasłona spada.)

A k t III.

Król.

(Przedpokój królewski w Luwrze. — Złocenia, rzeźby, sprzęty, obicia w stylu odrodzenia. — Na przodzie stół, fotel i taboret. — W głębi wielkie drzwi do sypialnego pokoju króla, osłonięte portjerą. — Na prawo na gzymsie kominka poustawiane naczynia złote i porcelany.)

Scena pierwsza.

Panowie, (później) **Król**, **Blanka**.

Gordes. Teraz dokończmy tej awantury.

Pardaillan. Trza Tribouleta wziąć na tortury, —
Niechaj się męczy i nie odgadnie,
Że jego piękna tu!...

P. de Cossé. Bardzo ładnie!
Niech szuka! Ale jeśli odzwierni
Luwru widzieli nas, jak tej nocy
Ją wnieśliśmy?...

P. de Montchénu. W mej było mocy
Zaradzić temu, — oni mi wierni,
I jeśli trefniś spyta, nie powie
Żaden ni słowa!...

Pardaillan. Przytem, panowie,
Jeden mój lokaj, dowcipny chłopak,

Żeby domysły zwrócić naopak,
Podszepnął ludziom błazna nieznacznie,
Że o północy w stronie bastylji
Widział jak jacyś ludzie śpieszyli
Niosąc kobietę jakąś...

P. de Cossé (śmiejąc się). Niech zacznie
Tam szukać!.. dobrze... jest ztąd z pół mili!

Gordes. Strzeżmy się tylko, byśmy niebacznie
Nie wygadali!...

Marot. A ja dziś rano
Taką mu jeszcze kartkę posłałem!

(Wyciąga papier i czyta.)

„Trefnisiu! biorąc twoją kochaną,
„Gustu ci sercem winszuję całem!
„Dzisiaj ją z sobą z Francji wywożę.
„Bądź zdrów, a nie trać nic na humorze.“
(Wszyscy śmieją się.)

P. de Gordes (do Marota).
I podpisałeś?

Marot. Jan z Nivelles!
(Podwojone wybuchy śmiechu.)

P. de Pardaillan. Brawo!
Nim ją wynajdzie, spoci się krwawo.

P. de Cossé. Radbym go widzieć!

P. de Gordes. Niech się pokaże
W rozpaczy, w gniewie, łamiąc swe ręce,
Ściskając zęby, wijąc się w męce, —
Jeszcze to grzechów jego nie zmaże!

(Otwierają się drzwi boczne, wchodzi król w wspaniałym negliżu rannym, w towarzystwie p. de Pienne. Wszyscy dworzanie usuwają się i odkrywają głowy. Król i p. de Pienne śmieją się do rozpuku.)

Król (wskazując drzwi w głębi).

Tam jest!...

P. de Pienne (potwierdza skinieniem).

Prześliczna!

Król. Nieocenione!...

Kochankę memu wziąć trefnisiowi!...

Pienne. Może kochankę, a może żonę!

Król (n. s.) Żona!... tam córka!... Tribouletowi
Rodzinne życie tak się podoba!...
Któżby pomyślał?...

Pienne. Król tedy raczy

Ujrzeć ją teraz?

Król. Bah! nie inaczej!

(P. de Pienne wychodzi i powraca w chwilę potem, prowadząc chwiejącą się Blankę z twarzą zasłoniętą. Król siada niedbale w swoim fotelu.)

P. de Pienne (do Blanki).

Wyjdź piękna!... Drżenie, smutek, żaloba,

Niech cię napróżno tu nie rozczuła!...

Pociesz się!... widzisz przed sobą króla!

Blanka (ciężko zasłonięta).

Król! ten młodzieniec!...

(rzuca mu się do nóg)

Łaski, o panie!...

(Na głos Blanki król zadrżał i daje znak wszystkim aby się oddalili.)

Scena druga.

Król, Blanka.

Król (podnosząc zastonę Blanki).

Blanka!...

Blanka. Pan Gaucher Makiet! o nieba!...

Król (wybuchając śmiechem).

Czy to przypadek, czy rozwiązanie
Umysłne?... Więcej mi nie potrzeba!
Witaj mi Blanko! piękna! kochana!
Pójdź w me objęcia!

Blanka (cofając się). Król!... król!... o Boże!...

Nie wiem jak mówić!... Jam obłąkana!..
Pan Gaucher Makiet... Nie... być nie może...
Pan jesteś królem... W oczach mi ciemno!...
(padając znów na kolana)

Ktośkolwiek, litość chciej mieć nademną!

Król. Litość nad tobą! Lecz ja czczę ciebie!
Co mówił Gaucher, król to powtórzy.
Kocham! ty kochasz! jesteśmy w niebie!
Królom też prawo kochania służy!...
Tyś mnie sądziła biednym me dziecię,
Los mi dał lepszą dolę na świecie,
Lecz to, żem królem, czyż jest powodem,
By żar miłości miał stać się lodem?
Że nie mam szczęścia, by być żebrakiem,
Czyż to jest zbrodnią, kalectwem jakim?

Blanka (n. s.) Jak on się śmieje! o Boże! Boże!
Umrzećbym rada!

Król. Tu na mym dworze
Ucztę, zabawy, tańce, turnieje,

Rozkosze, jakie miłość dać może,
Oto twa przyszłość, twoje nadzieje.
Bądźmy szczęśliwi! dwoje, kochani,
Użyjmy wielkich godów miłości, —
Bo czemuż życie? Cząstką nicości,
Co kona szybko w czasie otchłani,
Bez szaty uciech, odurzeń, szału!
Całe nie warte chwili zapału
I upojenia!... Długo myślałem
Nad tą zagadką, — i oto droga
Prosta do szczęścia: Szanujmy Boga,
Uciechy, miłość gońmy z zapałem,
Jedźmy i pijmy!

Blanka (przerażona, cofając się). Złudzenia moje,
Gdzieżeście!... czystych marzeń mych roje!...

Król. Czyś mnie sądziła drzącym kochankiem,
Ciężkim parobkiem lub mdłym barankiem,
Albo też głupcem bez ognia w duszy,
Co się spodziewa, że smutną miną
Wszystkie kobiety na świecie wzruszy,
Lub że od westchnień jego pogina?
(chce ją uściskać)

Blanka (odpychając króla).
Puść mnie nieszczęsną!... puść mnie ztąd panie!

Król. Wiesz gdzie jesteśmy?... Ta Francja cała,
Skarby, zaszczyty, rozkosze, chwala,
Władza, potęga i panowanie,
Wszystko jest moje, jam król, ja władam
Wyrzeknij tylko jedyne słowo, —
Nademną, nad tem co ja posiadam,
Będziesz władczynią, będziesz królową!

Blanka. Królową! królu, — a twoja żona?

Król (śmiejąc się).

O niewinności! cnoto wcielona!
Królowa nie jest moją kochanką!

Blanka. Kochanką! zgroza! wstyd!

Król. Dumna Blanko!

Blanka. Nie jestem twoją panie! Na świecie
Znam tylko ojca!...

Król. Twój ojciec, dziecię,
Triboulet, błazen mojego dworu!
Co zechcę tylko, wszystko z nim zrobię!
On trefniś! sługa mego humoru!
Chce to, co ja chcę!

Blanka (płacząc i ukrywając twarz w rękach).

Wszystko więc tobie
Posłuszne, panie?.. Mój ojciec drogi!...

(Łkania jej przerywają. Król rzuca się do jej nóg, aby ją pocieszyć.)

Król (z uczuciem).

O Blanko! nie płacz! ufaj bez trwogi
W mą miłość szczerą! chodź w me objęcia!

Blanka (opierając się).

Nigdy!

Król (j. w.) I powtórz wczorajsze słowo!

Blanka. To już skończone!

Król. Zbyt żywą mową
Dotknąłem w tobie dumę dziecięcia,
Lecz nie płacz, nie płacz, moje kochanie!
Wolałbym umrzeć, niż widzieć twoje
Łzy Blanko!... Wolałbym słyszeć zdanie,

Zem nie wart nosić berło, miecz, zbroję!...
 Król, co wyciska łzy z ocz piękności —
 To straszne!

Blanka (obłąkana i płacząca).

Prawdaż... co się tu dzieje,
 To jest żart tylko?... Ojciec łzy leje
 Za mną... tyś królem... Władzy, litości
 Masz dość, by ojcu córkę powrócić...
 Mieszkam w zaułku, gdzie dom de Cossé'a...
 Lecz ty wiesz królu... Oh! na niebiosa!
 Pozwól mi zaraz dom ten porzucić...
 Kto jesteś panie?... pojąć nie mogę
 Czemu mnie gwałtem z domu porwano?...
 Umysł mój mięsza się.. czuję trwogę,
 Jakaś obawę nieopisaną!...

(płacząc) I nie wiem... nie wiem, czy serce moje
 Kocha cię jeszcze...

(cofając się w poruszeniu przestachu)

Król!... Ja się boję!

Król (starając się ją objąć).

Ty mnie się boisz? niedobra!...

Blanka (odpychając go).

Panie!

Puść mnie przez litość! puść mnie na Boga!

Król (j. w.) No jeden całus na pojednanie!

Blanka (broniąc się).

Nie!

Król (n. s. śmiejąc się).

Dziwne dziewczę!

Blanka (wrywając się z jego objęć i spostrzegając drzwi otwarte).

Jedyna droga

Tędy!... o Boże!...

(wpada do sypialni króla i zamyka drzwi gwałtownie za sobą.)

Król (biorąc mały kluczyk złoty, który wisiał u jego pasa).

Mam klucz przy sobie!

Nie źle się wcale zdarza!

Marot (który od kilku chwil uważał przy drzwiach w głębi,
 śmiejąc się).

Masz sobie!

Wpadła do króla sypialni samej!

Biedaczka!

(wołając p. de Gordes.)

Hrabio!

Scena trzecia.

Marot, Panowie (później) **Triboulet**.

P. de Gordes (do Marota). No, cóż nowego?

Marot. Lew porwał owcę do swojej jamy.

P. de Pardaillan (skacząc z radości).

Biedny Triboulet!

P. de Pienne (który został przy drzwiach z oczyma wlepionem¹
 na zewnątrz).

Sza! on!...

P. de Gordes (cicho do innych). Niczego
 Niby nie wiemy... baczność! panowie.

Marot. Mnie tylko poznać może jednego,
 Bo ze mną mówił.

Dz. Liter. Nr. 71. Król się bawi.

P. de Pienne.

Co też on powie?

(Wchodzi Triboulet. Na pozór zdaje się nie zmienionym. Ma strój i minę obojętną błazna. Jest tylko bardzo błady. Pan de Pienne udaje, że prowadzi dalej obojętną rozmowę i gra oczyma z niektórymi panami, którzy tłumią śmiech na widok Tribouleta.)

Pienne. O tak! tak właśnie w tej samej porze...

(spostzegając niby dopiero Tribouleta przerywa)

A! a! dzień dobry mości Triboulet...

(kończąc niby rozmowę)

Zrobiono piosnkę, którą rozczule

Was tu panowie, — bom dziś w humorze:

(śpiewa)

Do Marsylii będąc w drodze,

Burbon prawil ludziom swym:

Mocny Boże! dzielne-ż wodze

Znajdziem w grodzie tym?...

Triboulet (śpiewa dalej).

Na wierzchołek srómej góry,

Jedną z niebezpiecznych dróg,

W ciszy darli się ponurej,

Nie żałując nóg!...

(śmiechy i oklaski ironiczne)

Wszyscy. Wybornie! brawo!

Triboulet (n. s. zbliżywszy się powoli na przód sceny).

Gdzie ona być może?

(zaczyna znowu nucić)

W ciszy darli się ponurej

Nie żałując nóg!...

P. de Gordes (przyklaskując).

Brawo! Triboulet w wybornym humorze!

Triboulet (n. s. przypatrując się wszystkim śmiejącym).

Wszyscy tam byli, czytam wyraźnie

W ich twarzach.

P. de Cossé (uderza w plecy Tribouleta, z wielkim śmiechem).

No cóż nowego błaznie!

Triboulet (do innych, wskazując p. de Cossé).

Nic nie slyszalem pociesniejszego

Jak tego pana:

(podrzeźniając p. de Cossé)

„No cóż nowego,

Błaznie?“

P. de Cossé (śmiejąc się ciągle).

Tak właśnie, jakie nowiny?

Triboulet (mierząc go od stóp do głów).

To, że gdy takie stroisz pan miny,

Stajesz się jeszcze cięższym niż zawsze.

(Podczas pierwszej części sceny Triboulet zdaje się szukać, badać, przeglądać. Najczęściej jego spojrzenie tylko jest wskazówką tego zajęcia. Niekiedy, gdy mniej patrzą na niego, on przestawia sprzęt jaki, porusza klamkę drzwi, aby zobaczyć czy zamknięte. Zresztą rozmawia z wszystkimi, jak zazwyczaj, w sposób żartobliwy, obojętny i swobodny. Panowie szepeją pomiędzy sobą i robią sobie znaki rozmawiające.)

Triboulet (spoglądając na stronę, do siebie).

Gdzie ją schowali?... Jeżeli zapytam,

To mnie wyśmieją!

(podchodząc do Marota, wesoło)

A! Marot! witam!

A zatem nieba cię najlaskawsze,

Strzegły tej nocy od zaziębienia?

Marot (udając zdziwienia).

Tej nocy?

Triboulet (mrugając, z miną porozumienia).

Niezły figiel, — wesoly!

Marot. Jaki?

Triboulet (wstrząsając głową).

Wiesz!

Marot (z miną słodką).

Mylne twe podejrzenia!

Męczą mnie zwykle noce mozoly.

Wczoraj jak zwykle zasnąłem wcześniej,

A dziś wschód słońca zastał mnie we śnie.

Triboulet. Toś nie wychodził tej nocy wcale?

Marzyłem widać...

(sposztręga na stole chustkę od nosa i porywa ją)

P. de Pardaillan (cicho do p. de Pienne).

Patrz jak w zapale

Mojej się chustce przygląda!...

Triboulet (n. s. upuszczając chustkę).

Nie ta!

P. de Pienne (do kilku innych, śmiejących się w głębi).

Panowie, patrzcie na Tribouleta!

Triboulet (n. s.)

Gdzie ją schowali?...

P. de Pienne (do p. de Cossé). Cóż cię tak śmiesz?

P. de Gordes (wskazując Marota).

Doprawdy Marot historje prawi!...

Triboulet (n. s.)

Cała ta zgraja bardzo się cieszy!

(do p. de Pienne i innych)

Czy król już nie spi, moi łaskawi
Panowie?

P. de Pienne. Może.

Triboulet. Szmer... tu... w bliskości!

(Chce się zbliżyć do drzwi, p. de Pardaillan go zatrzymuje.)

P. de Pardaillan. Nie budzić jego królewskiej Mości!

P. de Gordes (do p. de Pardaillan).

Wiesz wice hrabio, ten wisus Marot

Tak opowiada, że żadną miarą

Nie można wstrzymać pustego śmiechu,

Rozpatrz trzech Guy'ów, braci, co wczora

Znaleźli raptem koło wieczora

Wszystkie swe żony w najcięższym grzechu,

Bo z amantami...

Marot. Trzy!!!!...

Triboulet. Obyczaje

Bardzo rozwiąże dziś. Świat się staje

Codzien gorszym.

P. de Cossé. A te kobiety

Zdradzieckie!

Triboulet (do p. de Cossé). Pilnie strzeż ich panie!

P. de Cossé. Co?...

Triboulet. Strzeż się panie!

P. de Cossé. Co?...

Triboulet. Ha! niestety!

Coś panu sprawia w uszach zatkanie,

Coś!...

P. de Cossé. Cóż więc?

Triboulet (śmiejąc się zeń). Bojaźń, byś awantury
Się nie doczekał tejże natury,
Jak ci trzej bracia...

P. de Cossé (grożąc mu z gniewem) Co? co ten plecie?

Triboulet (dó innych, wskazując p. de Cossé).

To najciekawsze zwierzę na świecie,
Kiedy w tym wściekłym wymawia tonie:

(przedszczeniując)

„Co? co ten plecie?”

(Wszyscy się śmieją. Wchodzi dworzanik królowej.)

P. de Pienne. Co? Vandragonie!

Dworzanin. Królowa pani chce w waszej sprawie
Widzieć się z królem...

(P. de Pienne daje mu znak, że to niemożliwe. Dworzanin nalega.)

Przecież hrabina

Bréze tam nie jest..

P. de Pienne (z niecierpliwością). Wczesna godzina!
Król jeszcze nie wstał.

Dworzanin. Jakto! wszak prawie
W tej chwili z tobą przechodził, książę!...

P. de Pienne (z widocznym niezadowolaniem daje znaki, których
dworzanin nie rozumie, a na które Triboulet pilnie uważa.)

Król jest na łowach.

Dworzanin. Bez dojeżdżaczy?
Bo wszystko co się z łowami wiąże
Jest tam...

P. de Pienne (n. s.) U diabła!
(do dworzanina, na boku, z gniewem)

Kiedy inaczej
Zrozumieć nie chcesz, powiem ci panie,
Że król nikogo widzieć nie może.

Triboulet (wybuchając głosem grzmięcym).

Ona tam, z królem! ona tam! Boże!..

(Zdziwienie między panami.)

Gordes. Co znów za ona? czy obłąkanie
Cierpi?...

Triboulet. O! jasne wam me żądanie!

Znaczenie moich wyrazów wiecie
I łatwo mnie się nie pozbędziecie.
Wy wszyscy, Cossé, Pienne, ty panie
Pardaillan, — wszyscy!... Brion, szatan, Marot
Byliście w spółce, by pokryjomu
Unieść kobietę z mojego domu...
Oddajcie mi ją!...

P. de Pienne (śmiejąc się). Młodą czy starą,
Piękną czy brzydką nareszcie była
Kochanka, co cię tak opuściła?

Triboulet (przerażająco).

Ja chcę mej córki.

Wszyscy. Córki?

(Zdziwienie.)

Triboulet. Dziecięcica

Mego!... Możecie śmiać się panowie
Ze szlachetnego tak przedsięwzięcia!
Nie mająż rodzin wilcy... hrabiowie...
Książęta?... Czemuż ja jeden w świecie
Nie mam mieć córki?...

(głosem strasznym)

Wróćcie mi dziecię
Panowie! Pora skończyć te żarty.
Ja chcę mej córki! Ja chcę! Słyszycie?
Tak! wy szepczecie, wy się cieszyście
Z męczarni okropnych duszy rozdartej!..
Panowie, mówię, zwróćcie mi dziecko!
(rzuca się do drzwi królewskiej sypialni.)
Ona tam!

(Wszyscy dworzanie stają przed drzwiami i nie wpuszczają go.)

Marot. W wściekłość wpadł oblakany!

Triboulet (cofając się z rozpaczą).

Dworacy, lotry, zbójcy, szatany!
Więc tak, porwaliście ją zdradziecko!
Kobieta u was jest niczem... podli!..
Gdy król wasz grzęźnie w rozpust kałuży,
Każda z żon waszych sobą mu służy
I jak o łaskę o — wstyd się modli!
O czci pojęcie macie potworne,
Kobieta u was chodzi dzierzawą,
Z której korzystać każdy ma prawo,
Kto zechce dobre płacić komorne!
Względami waszą hańbę król płaci,
Procent od waszej czci was bogaci,
Spodlenie daje wam stanowiska,
Pierś wasza sromu znakami błyska!

(przebiegając ich wzrokiem)

Niech mi choć jeden z wśród was zaprzeczy..
Jest-że to fałszem?

(przechodzi od jednego do drugiego)

Nie! w samej rzeczy.

Wyście sprzedali, albo sprzedacie
Za imię, tytuł, dworską posadkę,
Wszystko co zechce, wszystko co macie,
(do p. de Brion)

Ty żonę...

(do p. de Gordes)

A ty siostrę!..

(do młodego paza de Pardaillan)

Ty matkę!..

(Jeden z paziów nalewa sobie wina w bufecie, i zaczyna pić nucąc.)

Paż. Do Marsylji będąc w drodze

Burbon prawil ludziom swym:

„Mocny Boże!.. dzielne-ż wodze..“

Triboulet (oglądając się).

Ty wice-hrabio!.. nie wiem, dla czego
Piosnki wraz z szklanką w twarz ci nie wbiję!..

(do wszystkich)

Ha! pary! hrabie! grandy!.. ha! żmije!..
Germandois, prawnuk karla Wielkiego,
Brion, z Medjolanu książąt, Montchénu,
Synowie Piennów i Pardaillanów,
I Montmorency.. i z Gordes-Simjanów
Jeden... na których herbach, imieniu
Nie było dotąd skazenia szczerbów,
Ukradli córkę, córkę biedaka!
I taka hańba i zbrodnia taka
Byłażby dziełem dziedziców herbów?
O nie! swych imion wyście nie warci!
Matki poczęły was brnąć w rozpucie
Z służbą tajenną!.. Wyście bękarci!..

Gordes. Ho! ho! błaznujesz w niesmacznym guście!

Brion. Szatanie!

Pardaillan. Łotrze!

Triboulet. Powiedzcie szczerze,

Król wam zapłacił, żeście sprzedali
Mu dobro moje? On nic nie bierze
Darmo! on płaci!... Coście dostali?

(wyrywając sobie włosy)

Ja tylko miałem... ją! piękną, cudną,
Gdybym się hańby nie brzydził kałem,
Czyż sprzedać mu ją byłoby trudno?
On by zapłacił... Lecz ja nie chciałem!

(przechodząc ich oczyma)

Czy król wasz myśli, że mi dać zdoła
Coś w zamian? Nie ma dla mnie nic zgoła!
Możeż tę postać krzywą, znędzniałą,
Przyoblec w ludziom podobne ciało?
Możeż me imię pokryć imieniem
Takiem jak wasze? Jakiem sumieniem
Wziął wszystko, kiedy nic dać nie może?
Ach! ten wasz figiel, pankowie modni!
Jak on jest nędzny, płaski, szkaradny,
Jak bez odwagi spełniony żadnej,
Podejściem podłem!... Wyście niegodni
Bandyści, zbójcy i napastnicy
Bezbronnych kobiet!... No! rozbójnicy,
Gdzie córka moja?... gdzie ją chowacie?
Mówcie! czy mi ją prędko oddacie!
Patrzcie... to ręka moja!... to ręka
Parjasa, chłopca, nędzarza, błazna,

Miecz w niej szlachecki dumnie nie szczęka,
Lecz ma paznogie ta dłoń żelazna!
No! już za długo czekam... precz!... z drogi!...
Puszczajcie!... na bok!... niech ją zobaczę!..

(Rzuca się na nowo wściekły ku drzwiom, które zastępują wszyscy dworzanie. Walczy z nimi czas jakiś i powraca nareszcie na drugą stronę, wyczerpany, dyszący, padając na kolana.)

Dziesięciu przeciw jednemu!...

(zalewając się łzami i łkając)

Wrogi!

Szatany! patrzcie!... ja płaczę!

(do Marota)

Marocie! dość się ze mnie naśmiałeś,
Wszakże czuć jeszcze nie zapomniałeś!
Ty jak ja ludu jesteś człowiekiem,
Masz serce pod tą dworaczą szatą,
I nad tym całym bezmyślnym stekiem
Górujesz swoją wiedzą bogatą, —
W tem piekle braćmi być mamy prawo.
I sprawa moja wspólną nam sprawą.
Marocie! niech cię zmiękczą me modły,
Tyś dobry! powiedz, gdzie ją schowali?
Co z nią zrobili? komu ją dali?
Gdzie ona teraz? Ha! milczysz... podły!
(wlokąc się na kolanach do innych)

Patrzcie! ja błagam was na kolanach,
Proszę o litość i przebaczenie!
Być może nieraz przez rozdrażnienie,
Zwykle kalekom, wzbudziłem w panach
Gniew, nieoględnie miotając słowy,

Lecz dość już kary!... Wszak od połowy
Lat moich błaznem waszym wciąż jestem ..
Błagam o łaskę!... wy nie zechcecie
Mściście się na cacku, na Tryboulecie,
Który was bawił słowem i gestem!..
Doprawdy... myśli brak mi już w głowie!..
Zwróćcie mi córkę moją, panowie,
Córkę, ukrytą w króla komnacie,
Mój skarb... Przez litość, przez zmiłowanie!..
Zrobię wam wszystko, co zażądacie,
Bez niej nie począc nie jestem w stanie!
Tylem przecierpiał w życiu mem całem!
Ja tylko jedną na świecie miałem!

(Wszyscy milczą. Triboulet wstaje zrozpaczony.)

Boże! wy tylko śmiać się umiecie,
Lub milczeć!... Więc to rzecz tak wesoła
Widzieć, że ojciec płacze, i z czoła
Wyrывa włosy... szarpie pierś..

(Drzwi pokoju króla otwierają się nagle. Wchodzi Blanka obłąkana,
w ubraniu porozrzucanem, i rzuca się w objęcia ojca z krzykiem
przerażającym)

Triboulet.

Dziecię!

Blanka. Ach! ojczu!

Triboulet (ściskając ją). Blanko! tak! tak... to ona!

(Łkając i śmiejąc się przez łzy).

Patrzcie panowie! to ma rodzina,
Skarb mój, mój anioł... Nie zapomina
Się takiej córki, i gdy stracona,
To krzyk boleści piersi rozrywa,

Więc się nie dziwiecie, że w strasznej chwili
Płakałem...

(do Blanki)

Nie drzyj! będziesz szczęśliwa!

To ci panowie na żart zrobili...

Pewnym, że w strachu byłeś nie małym,

Lecz oni wiedzą jak cię kochałem,

Nie będą więcej niepokoiłi

Ciebie...

(do panów)

Wszak prawda?..

(do Blanki, ściskając ją)

Oh! ja w tej chwili

Śmieję się, patrzaj, a tak płakałem!

(patząc na nią z niespokojnością)

Lecz oczętami spojrzuj jasnemi

Blanko!.. Co tobie?.. /drój łez oblewa

Twarzyczkę twoją?..

Blanka (zastaniając rękami twarz zarumienioną od płaczu).

Jam nieszczęśliwa!

Hańba!

Triboulet (drząc). Co? powtórz...

Blanka (chowając twarz na piersiach swojego ojca).

Lecz nie przed tymi

Ludźmi!... przed tobą!...

Triboulet (obraając się z drżeniem wściekłości ku drzwiom
pokoju króla).

Niecny!... I ona!...

Blanka (łkając i padając do nóg ojca).

Zostańmy sami!... Jam przerażona!...

Ja drzę!... jam biedna...

Triboulet (robiąc kilka kroków i wypędzając gestem wszystkich oniemiałych dworzan).

Precz ztąd! panowie!

A król Franciszek, jeżeli zechce

Tu wejść!...

(do p. de Vermandois)

Niech mu pan Vermandois powie,

Że ja tu jestem i tego nie chcę!

P. de Pienne. To niesłychane, co on tu plecie!

P. de Gordes (robiąc mu znak, żeby wyszedł).

Błaznom jak dzieciom czasem wypada

Ustąpić... Wyjdźmy, to moja rada!...

Czuwajmy jednak...

(Wychodzą.)

Triboulet (siadając na fotelu króla i podnosząc swoją córkę).

No moje dziecko

Opowiedz wszystko!...

(ogłąda się i widząc, że p. de Cossé pozostał, powstaje i wskazuje mu drzwi).

Słyszalesz panie!

P. de Cossé (cofając się, jakby pokonany przez potęgę moralną błazna).

Te dworskie błazny zbisurmanione

Myslą, że wszystko im dozwolone.

(wychodzi).

Scena czwarta.

Blanka. Triboulet.

Triboulet (poważnie).

Mów więc... opowiedz twoje porwanie.

Blanka (z oczyma spuszczone, łkania przerywają jej).

Mój ojcie!... najprzód powiedzieć trzeba,

Że wczoraj zakradł się do nas...

(płacząc i zasłaniając oczy)

Nieba!

Ja nie śmiem!... ja drzę!...

(Triboulet ściska ją i ociera jej czoło z uczuciem.)

Zwykle w niedzielę

On chodził za mną...

(przerywając sobie znowu)

Otóż... więc... ale...

Bo widzisz ojcie... nie mówił wcale,

Ale co tydzień bywał w kościele...

Triboulet. Tak, król...

Blanka.

I kiedym była dość blisko,

Wstrząsał memi krzesłem, bym go ujrzała.

(głosem coraz słabszym)

Wczoraj wszedł do nas... inne nazwisko

Powiedział... słuchał com rozmawiała...

Triboulet. Niech ci oszczędzę wstydu i bólu!

Nie kończ!... wiem resztę!..

(wstaje)

Rozpustny królu!

Wzięlesz ją, aby z czystego czoła

Zerwać najdroższą koronę cnoty,

By wzgardę, hańbę rozlać do koła

Słabej, bezbronnej, wątłej istoty!

Tys była jedną pociechą moją,

Dniem po okropnych nocach żywota,

Duszy mej biednej tarczą i zbroją,

I tyś skalana dotknięciem błota!...
Jedyną świętość, w jaką wierzyłem,
Wzięto mi podle... wszystko straciłem!
Co ze mną będzie po takim gromie?...
Ja na tym dworze grzęznącym w sromie,
W orszaku panów, w króla osobie,
W mieście i w kraju i w samym sobie,
Widziałem tylko zbrodnię, bezczelność,
Bezwstyd, brud, hańbę i skazitelność,
I w tobie tylko czystość widziałem,
I nią zwątpienia ból rozpraszałem!...
Łzy, poniżenie i rany krwawe
Zadane dumie, pośmiech, niesławę,
Wzgardę i wszystkie, wszystkie bólesci,
W których prócz bólu hańba się mieści,
Których cios duszę wraz z ciałem rani,
Z rozpogodzonym przyjąłbym czołem,
Boże!... lecz dla mnie tylko, nie dla niej!...
Im bardziej spadłem, tym ją pragnąłem
Wynieść, by przy niej ojciec spodłony
Był jako szafot obok ołtarza, —
Teraz ten ołtarz mój wywrócony!..
Ukryj swe czoło!.. wstyd je znieważa,
Płacz dziecię!... młoda... w twych latach przecie
Cząstka bólesci w łzach się rozplywa...
Na sercu ojca płacz nieszczęśliwa...
W łzach może ulgę znajdziesz me dziecię.
(marząc)

Blanko! gdy spełnię, co mi zostało
Spełnić, — wyjedziem zaraz z stolicy,
Oby mi tylko ująć się udało!

(marząc ciągle)

O Boże! jakże twojej prawicy,
By wszystko zmienić, potrzeba mało!..
(podnosząc się z wściekłością)

O zgrozo! niebo więc pozwoliło,
By dwór ten brudny i obłąkany,
Wściekły w występku i rozpasany
Na wszystkie zbrodnie, jakie stworzyło
Piekło... zionący hańbę i błoto
Na to, co świętą pancerne cnotą,
Zacierający zbrodniami zbrodnie,
Mógł się aż targnąć na to ustronie,
Gdzie ją ukryłem i tam niegodnie
Oddechem swoim skalać jej skronie!
(zwracając się ku pokojowi króla)

Franciszku pierwszy! skarci cię srodze
Bóg, który widzi i karać może,
Znajdziesz śmierć wkrótce na swojej drodze!

Blanka (n. s. podnosząc oczy do nieba).

Oh! ja go Kocham!... przebac mu Boże!...

(słychać kroki w głębi. W galerji zewnętrznej pokazuje się orszak żołnierzy i dworzan. Na ich czele p. de Pienne).

P de Pienne (wołając).

Panie Montchénu, rozkaż by bramę
Luwru otwarto dla nas w tej chwili,
Pana Saint-Valier mam do bastylji
Odstawić..

(Grupa żołnierzy przechodzi parami w głębi. W chwili gdy p. de St. Vallier przechodzi przed drzwiami, zatrzymuje się i mówi głośno zwracając się ku pokojowi króla.)

P. de Sain-Valler. Aby położyć tamę
Zbrodniom Franciszka, zbyt słabą była
Ma klątwa!... Niebo dotąd nie zsyła
Swojego gromu lub mszczącej dłoni,
Nie mam już więcej nadziei w niebie,
Król ten się wszelkiej klęski uchroni!..

Triboulet (podnosząc głowę i patrząc nań w twarz).
Mylisz się hrabio! Ktoś pomści ciebie!..
(Zasłona spada.)

A k t IV.

Blanka.

(Plac pusty w bliskości de la Tournelle, dawnej bramy Paryża. — Po prawej domostwo nędźnie umeblowane stołkami dębowymi i popolitami sprzętami, z facjatą, gdzie przez okno widać nędzne łóżko. Front tej chałupy, zwrócony do widza, jest takiego rodzaju, że przez okna i dziury widzieć można całe wnętrze. Jest tam stół, kominek, w głębi spadziste schody prowadzące na facjatę. W bocznej ścianie drzwi, otwierające się wewnątrz. Ściany są zrujnowane, wszędzie szpary i szramy, pozwalające widzieć, co się dzieje w głębi. We drzwiach jest zakratowana szybka, po nad którą na zewnątrz znajduje się daszek, a nad nim znak oberży. — Reszta sceny przedstawia plac. Po lewej stary zrujnowany mur nadbrzeży, u stóp którego płynie Sekwana, w który wmurowanym jest słup utrzymujący dzwonek, służący za sygnał dla promu. W głębi, po za rzeką, stary Paryż.)

Scena pierwsza.

Triboulet, Blanka (na placu). **Saltabadil** (w domu).

(Podczas całej tej sceny Triboulet zdaje się niespokojnym i zajęтым jak człowiek, który boi się, żeby mu nie przeszkodzono i żeby go nie widziano. Patrzy często do koła, a nadewszystko w stronę chaty. Saltabadil siedzący w oberży zajmuje się czyszczeniem swojego pasa, nic nie słysząc, co się dzieje do koła.)

Triboulet. I ty go kochasz?

Blanka.

Zawsze.

Triboulet. Niestety!
Miałas już czasu dość na poznanie,

Blanka. Ja kocham.

Triboulet. Biedne serce kobiety,
Powiedz mi, czemu to obłąkanie?

Blanka. Nie wiem.

Triboulet. To dziwne i osobliwe.

Blanka. O nie!.. to jasne. Często na świecie

Napotykam serca życzliwe,

Przyjazne, zacne, miłe, — a przecie

Kochać je trudno... Jam z ręki jego

Złe tylko wzięła, i nie wiem czemu

Kocham go zawsze, tak, że dla niego...

Nie dziw się ojcze szaleństwu memu...

Dla niego, ojcze, tak jak dla ciebie,

Gdyby postawił mnie los w potrzebie,

Jabym umarła!

Triboulet. Biedna dziewczyno!

Blanka. Lecz, ojcze, ja wiem, że i on kocha
Mnie też...

Triboulet. Nieprawda dziewczyno płocha!

Blanka. O! on mi przysiągł, on mnie jedyną

Swoją nazywał... mówił tak miłe

Te rzeczy piękne i których siłę

Trudno się oprzeć, że ja mu wierzę...

I oczy jego patrzą tak szczerze.

To jest król piękny, dzielny...

Triboulet (wybuchając). Niegodny!

O! nie powiedzą, że mi bezkarnie

Wziął szczęście całe ten syn wyrodny

Walezych! Bodaj zaginał marnie!...

Blanka. Lecz przebaczyłeś...

Triboulet. Ja? świętokradzko

Targałbym moje najdroższe plany?

Trza było czasu, by się z zasadzką

Obeznąć... oto...

Blanka. Ojcze kochany,

Wszakże się zdaje już od miesiąca,

Że — kochasz króla?... widzisz, ja drżąca

Pytam się...

Triboulet. To jest podstęp — kochanie.

Pomszczę cię, Blanko!...

Blanka (składając ręce). Oszczędź mnie raczej

Triboulet. Powiedz mi, czy go będziesz inaczej

Sądzić, gdy ujrzysz, że to udanie,

Że cię nie kocha...

Blanka. Oh! nie! nie wierzę!

Triboulet. A gdy oczyma ujrzysz swojemi,

Że on cię nigdy nie kochał szczerze,

Przestaniesz kochać?

Blanka. Nie wiem. Własnymi

Słowy mi mówił, żem dlań jedyną,

Zwątpić me serce nie jest dość skorem.

Triboulet (gorzko).

Kiedyż ci mówił?

Blanka. Wczoraj wieczorem.

Triboulet. Więc patrz, gdy możesz, biedna dziewczyno!

(wskazuje Blance jedną z rozpadlin muru domostwa, ona patrzy)

Blanka (cicho). Widzę mężczyznę, — nie jest mi znany.

Triboulet (podobnie zniżając głos).
Poczekaj nieco!

(Król w ubraniu oficerskiem pokazuje się w dolnej izbie zajazdu. Wchodzi on przez małe drzwi komunikujące się z jakimś pokojem sąsiednim.)

Blanka (drżąc). Ojcie kochany!
(Przez cały ciąg sceny następnej Blanka zostaje przyparta do ściany, słuchając i patrząc na wszystko, co się dzieje wewnątrz sali, niezważając na nic zresztą, wstrząsana niekiedy konwulsyjnym drżeniem.)

Scena druga.

Ciąż sami, Król, (później) Magelona.

Król (uderzając w ramię Saltabadila).
Dwie rzeczy zaraz.

Saltabadil (z ukłonem). Co?

Król. Siostrę... szklankę...

Triboulet (na placu).
Widzisz me dziecię, król z łaski bożej
Często na taką chodzi hulankę.
Wino nim rządzi, wino go morzy,
A gdy miłości czuje potrzebę,
Jest dlań boginią szynkowna Hebe!

Król (w szynkowni, śpiewając).
Kobieta zmienną bywa
W pustocie zwykłej swej,
I często wiatr porywa
Jak puszek serce jej.

(Saltabadil przynosi w milczeniu z sąsiedniej izby butelkę wina i szklankę. Postawiwszy je na stole uderza dwa razy w sufit rękocięciem swojej długiej szpady. Na ten znak, ładna dziewczyna, ubrana po cygańsku, lekka i śmiejąca się, zbiega ze schodów podskakując. Jak tylko zeszała, król chce ją uściskać, lecz ona się wymyka.)

Król (do Saltabadila, który znowu się zabrał do czyszczenia pasa).
Ho! przyjacielu, twój pas by może
Nabrał daleko lepszego blasku,
Gdybyś go zechciał czyścić na dworze.

Saltabadil. Rozumiem.

(Wstaje, kłania się niezgrabnie królowi, i wychodzi na plac, zamykając drzwi za sobą. Następnie spostrzegłszy Tribouleta zmierza doń z miną tajemniczą. Podczas krótkiej rozmowy ojca z Saltabadilem, Magelona umizga się do króla, Blanka przygląda się z oburzeniem.)

Saltabadil (cicho do Tribouleta wskazując palcem dom).

Ptaka mam już w potrzasku,
Tam!... Jak pan każe?...

Triboulet. Przyjdź tu za chwilę.
(Daje mu znak, żeby odszedł. Saltabadil znika powolnie po za starym murem wybrzeża. Tymczasem król swawoli z młodą cyganką, która go odpycha śmiejąc się.)

Magelona (którą król chce pocałować).

Nie! nie!

Król. Wprzód biłaś, dziś tylko tyle,
Że krzyczysz!... postępek wielki! Lecz czemu
Cofasz się zawsze, — he?
(cyganka się zbliża)

Tydzień temu
Pierwszy raz ciebie mi pokazano...
Któż to?... a! prawda! to pan Triboulet..

I od tej chwili kocham cię czule,
Tyś jest jedyną moją wybraną!

Magelona (śmiejąc się).

I tuzin innych... pan bałamutem
Musisz być, z sercem bardzo zepsutem.

Król (śmiejąc się także).

Dałem się w znaki niejednej cnotcie,
To prawda!... Jestem potwór w istocie!...

Magelona. Chwali się! kłamca!

Król. Nie, rzeczywiście!..

Dziś mnie przywiodłaś do tej tu chaty,
Zajazd tu bardzo nędzny zakaty!
Nie można raczyć się zamaszycie,
A wina wasze — to fabrykaty
Twojego brata... Brzydki to człeczek,
I jego gęba obok usteczek
Twych... straszny kontrast, na moją duszę!
Otóż... dziś noc tu przepędzić muszę.

Magelona (n. s.)

Dobrze!... sam wpada.
(do króla, który ją chce uściskać)
Puść pan.

Król. Grymasy
Znów!

Magelona. Bądź pan grzecznym!

Król. Grzeczność w te czasy
Najlepsza — kochać, bawić się, szaleć.
Innejby nie mógł, zważywszy ściśle,
Nawet Salamon głosić i chwalić.

Magelona. Częściej odwiedzasz szynki, jak myślę,
Niż kościół, kiedyś taki moralny...

Król (wyciągając do niej rękę).
No, Magelono!...

Magelona (usuwając się). Jutro!...

Król. Ze złości
Stój ten wywróce, gdy ten fatalny
Wyraz powtórzysz. W ustach piękności
Nigdy to słowo brzmieć nie powinno!

Magelona (łagodniejąc nagle, i siadając wesoło przy stole, obok króla).

Tak... no to zgoda..

Król (biorąc jej rękę). Jaką dziecinną
Drobną masz rączkę. Miałbym ochotę
Za każdej innej rączki pieszczotę
Dostać policzek twojej.

Magelona (oczarowana). Oh! żarty!

Król. Prawda!

Magelona. Jam brzydka!

Król. Nie! tyś jest cudną!
Hołdy ci składam, bo milczeć trudno,
Głos serca niczem jest nieprzeparty,
Ty jesteś uczuć moich królową.
Ty pewno nie wiesz, że my wojskowi,
Przejęci pięknych oczu wymową,
Wśród losów nawet płonać gotowi!

Magelona (wybuchając śmiechem).

Pan to gdzie w książce wyczytał może..

Król (n. s.) Być może!

(głośno) Calus!

Magelona. Fe, pan pijany!

Król (uśmiechając się).

Miłością!...

Magelona. Żarty, panie kochany,

Boś pan w wesołym bardzo humorze!

Król. Nie! (całuje ją)

Magelona. Dość już!

Król. Chcę cię zaślubić.

Magelona (śmiejąc się). Słowo?

Król. Jaka rozkoszna, żywa dziewczyna!

(Bierze ją na kolana i zaczyna do niej mówić po cichu. Ona śmieje się i mizdrzy. Blanka nie mogąc dłużej wytrzymać, błada i drżąca obraca się do ojca.)

Triboulet (po chwili przyglądania się jej w milczeniu).

No cóż? o zemście myślisz jedyna?

Blanka (mogąc zaledwie mówić).

Zdrajca! niewdzięczny!... Biedna ma głowo!...

Jak on mnie zwodził!... Gdzie serce?... Boże!..

On jej to wszystko powtarzać może,

Co do mnie mówił nieraz...

(tuli głowę do piersi ojca)

A ona

Jaka bezczelna!...

Triboulet (cicho). Cicho! me dziecię,

Nie płacz!... Niech zemsta dzieła dokona!

Dobrze?

Blanka. Straciłam wszystko na świecie,

Rób co chcesz, ojcze!

Triboulet. O wiem, co zrobię!

Blanka. Tyś straszny ojcze! ojcze!... co tobie?
Jaki masz zamiar?

Triboulet. Rzecz już gotowa!

Dobiłabyś mnie.. nie cofaj słowa!

Sluchaj. Co prędzej do domu wpadnij,

Weź konia, złoto, nie pytaj ile,

I jedź, nie stając ani na chwilę,

Do Loreux... Ja tam będę za dwa dni.

Odzież ci męzką przygotowałem,

Jest w kufrze przy twej matki portrecie,

Weź ją na siebie, pamiętaj dziecię.

Koń dzielny, gotów, popędzi cwałem.

Idź... spiesznie... wszystko zrób, jak kazałem.

Tutaj nie wracaj... W drodze ostrożna

Bądź... Straszne będą działały się rzeczy..

Idź!

Blanka. Ty pójdź ze mną ojcze.

Triboulet. Nie można!

Blanka. Drzę!

Triboulet. Idź już!

(całuje ją jeszcze, — Blanka wychodzi chwiejąc się)

Boskiej zdaję cię pieczy.

(Podczas tej sceny i następującej, król i Magelona w izbie szynkowej prowadzą rozmowę cichą i zalotną śmiejąc się i zaczepiając. Po odejściu Blanki Triboulet wchodzi na mur wybrzeża i daje znak, na który wychodzi Saltabadil. Zmierch coraz gęstszy.)

Scena trzecia.

Triboulet, Saltabadil (na placu), **Król, Magelona** (w domu).

Triboulet (licząc Saltabadilowi dukaty).

Żądasz dwadzieścia... masz dziesięć z góry.

(zatrzymując się chwilę przed ich oddaniem)

On tu nocuje?

Saltabadil (rozpatrując się w chmurach).

Czas tak ponury...

Triboulet (n. s.)

Nie co noc bywa w Luvrze w istocie.

Saltabadil. Nie zechce w miasto ruszać po slocie.

Burza i siostra moja go wstrzyma.

Triboulet. W północ powracam.

Saltabadil. Potrzeby nie ma.

Mogę sam wrzucić go do Sekwany.

Triboulet. Nie! ja sam wrzucę!

Saltabadil. I owszem panie!

Trup będzie w worku, pozaszywany.

Triboulet (dając mu pieniądze).

Dobrze!... Na północ niech się już stanie

Wszystko... Przyniosę resztę pieniędzy.

Saltabadil. Wszystko ułatwię na czas lub przedzej.

Jak też się zowie pańska ofiara?...

Triboulet. On się zwie zbrodnia, — ja jestem kara.

(wychodzi).

Scena czwarta

Ciż sami, prócz Tribouleta.

Saltabadil (przypatruje się niebu obciążonemu chmurami; noc prawie zapadła, błyskawice).

Wciąż chmury... burza będzie wieczorem.

Tem lepiej!... pustki będą w ulicy!

(namyślając się)

Jacyś zawzięci dwaj przeciwnicy!

Ja nie wiem, co jest zemsty motorem,

Lecz... jedni płacą... niech drudzy giną!

(Przygląda się obłokom wstrząsając głową, król tymczasem żartuje z Mageloną.)

Król (chcąc ją objąć w pól).

No! Magelono!

Magelona (wymykając się). Precz!

Król.

Zła dziewczyno!

Magelona (nuci). Nie wiele wydaje wina

Kwitnąca w kwietniu roślina!

Król.

Jaki gors! ramię! moja czarowna!

To anatomia bardzo wymowna!

Dla czegoż tworząc Wenery ciało,

Bóstwo szatana serce ci dało!

Magelona (nuci).

Tra la la!...

(odpychając znów króla)

Dosyć! brat mój nadchodzi,

Prześtań pan!

(Wchodzi Saltabadil, zamykając drzwi za sobą.)

Król.

Brat twój? I cóż to szkodzi?

(Słychać grzmot oddalony.)

Magelona. Grzmi.

Saltabadil. Będziem mieli burzę wspaniałą.

Król (uderzając w ramię Saltabadila).

Dobrze, niech pada! Chcę tu noc całą
Przepędzić, w twojej izbie.

Magelona.

W istocie
Tak pan chcesz zrobić? Pańska rodzina
Pewno w niemalym będzie kłopotcie.

(Saltabadil ciągnie ją za rękaw i szepcze do niej.)

Król.

Ja nie mam babki, moja jedyna,
Ciotek i córek, — o nic nie stoję.

Saltabadil (u. s.)

Tem lepiej.

(Deszcz zaczyna padać ulewnie. Noc ciemna.)

Król (do Saltabadila). Ty zaś spać będziesz może

W jakiej tam stajni, albo oborze.

Saltabadil (kłaniając się).

Z ochotą.

Magelona (do króla, po cichu, śpiesznie, zajęta zapalaniem lampy).

Idź pan!

Król (wybuchając śmiechem, głośno). Co? moje dziecię

Chcesz, abym wyszedł? w pośród wiewatów
Grzmotu i burzy?...

(idzie do okna)

Saltabadil (cichy do Magelony, pokazując jej złoto, które ma
w ręku).

Zrozumiej przecie,
Że trza, by został? Dziesięć dukatów
Dostałem... dziesięć wkrótce dostanę!

(z przymileniem do króla)

Mogę mieć szczęście niespodziewane
Mój skromny pokój wskazać ci panie?

Król (śmiejąc się).

Gdzie się nie można rozstać ze słotą,
Bo przez dach cieknie.

Saltabadil.

Chce pan?

Król.

Z ochotą!

(Saltabadil bierze lampę. Król śmiejąc się mówi parę słów do ucha
Magelonie, poczem obydwaj wchodzi po schodach na pierwsze pię-
tro. Saltabadil poprzedza.)

Magelona (sama).

Biedny młodzieniec!

(idzie do okna)

Wciąż deszcz przekłety!

(Przez okno na górze widać Saltabadila i króla.)

Saltabadil (do króla).

Tu stół, tu krzesło, tu łóżko...

Król.

Ile

Nóg razem mają te wszystkie sprzęty?

(Ogląda wyraźnie krzesło, stół i łóżko.)

Tu trzy, sześć, dziewięć... Wszak się nie mylę,

Że twoje meble miały rozprawę

Jakąś fatalną, — wszystkie kulawe!

(Zbliży się do okna, którego szyby są potłuczone.)

Spać tu, to jakby spać na ulicy,

Bez żadnej szyby i okiennicy,

Trudno jest lepsze robić przyjęcie

Wiatrom.

(Do Saltabadila, który zapalił lampkę na stole.)

Dobranoc.

Saltabadil. Niechaj Bóg strzeże

Pana.

(wychodzi, przemykając drzwi i schodzi wolno na dół).

Król (odpasując szpadę).

Zmęczony jestem przekłęcie!

Spocząć tymczasem chętna mnie bierze.

(kładzie na krześle kapelusz, szpadę, zdejmując buty i kładzie się na łóżku).

Ta Magelona to dziwcę świeże!

Wesołe, żywe...

(powstając z łóżka)

Drzwi niezamknięte

Przecież, to dobrze.

(Kładzie się znowu i w chwilę potem widać go głęboko uspiętego na łóżku. Magelona i Saltabadil zostają cięgle na dole. Burza wybuchnęła od chwil kilku, błyskawice i deszcz nieustanny. Co chwila grzmoty. Magelona siedzi przy stole zajęta szyciem. Jej brat zamysłony wypróżnia butelkę zostawioną przez króla. Oboje milczą czas jakiś, jakby zajęci ważnymi myślami.)

Saltabadil (n. s.)

Dalej... do dzieła!

Magelona. To śliczny chłopiec!

Saltabadil.

A! do stu katów!

Prawda!... Napędził do mej kieszeni..

Magelona. Warty więcej.

Saltabadil.

Głupiaś! Dziś grosz się ceni

Inaczej!... Zobacz czy odpiął szpadę

I znieś ją.

(Magelona idzie na górę. Burza jest nader gwałtowna. Widać w głębi wchodzącą Blankę w czarnym ubraniu mężczyzny, do konia, w butach z ostrogami. Podczas gdy Saltabadil pije a Magelona z lampą w rękę przypatruje się na facjacie śpiącemu królowi, Blanka zbliża się z wolna do domostwa.)

Magelona (ze łzami w oczach).

Szkoda!

(biorąc szpadę)

Spisiesz się!

(schodzi, znosząc szpadę bratu.)

Scena piąta.

Król (spiący na facjacie), **Saltabadil i Magelona** (w domu, na dole), **Blanka** (na placu).

Blanka (zbliżając się powolnie w cieniu, wśród błyskawic i grzmotów nieustannych).

Rzecz straszna!... Boże! zeszlij mi radę!

On ma noc spędzić w tej obrzydliwej

Jaskini... Zda mi się, że nadchodzi

Chwila stanowcza! — Oh! przebaczenia,

Ojcie, dla córki, która cię zwodzi,

Co nie spełniła twego zlecenia,

Lecz jam nie mogła! jam nie zdołała!

(zbliżając się do domu)

Jak się to skończy? Ja! com nie znała

Świata i tego co w nim się mieści,

Życia i jego męczarń, boleści,

Żyjąc ukryta wśród kwiatów woni,

Nagłem do takiej wrzucona toni!...

Honor twój, cnota, biedna dziewczyno,

Wszystko żałobą, zgłiszczem, ruiną!...

Czyż w każdym sercu, gdzie zajaśnieje

Miłość, zostawia tylko zwałiska,

Popioły, z których iskra nie błyska?...
On mnie nie kocha!... Biedne nadzieje
Moje!...

(podnosząc głowę)

Zda mi się, żem coś słyszała,
Jak gdyby piorun nad moją głową...
Grzmiało zapewne. — Ja, com się bała
Cienia mego, w tę noc grobową
Jestem tu sama!.. Rozpacz zawrzała
W sercu, — na wszystko jestem gotową!

(sposstrzegając światło w domu)

Co się tam dzieje?

(postępuje krok i cofa się)

Strach mnie zdjął... Boże!
Tam kogo... kogo?... zabić chcą może.
(Magelona i Saltabadil zaczynają rozmowę)

Saltabadil. Jaki czas!

Magelona. Grzmoty, deszcz.

Saltabadil. Posiadacze

Lokalu w niebie się pokłócili:
Pan domu krzyczy, a pani płacze!

Blanka. Ojcie! ty nie wiesz, gdzie ja w tej chwili!

Magelona. Mój bracie!

Blanka (drżąc). Głos? tu?

(drżąc zbliża się ku domowi i zaczyna słuchać i patrzeć przez szparę)

Magelona. Bracie!

Saltabadil. No? czego?

Magelona. Myślę, wiesz co?

Saltabadil. Nie.

Magelona. Zgadnij.

Saltabadil. Do czarta!

Magelona. Ten młody człowiek to coś lepszego
I inna dola spotkać go warta.
Piękny, wysoki, jakby Apollo,
Kocha mnie, może będzie twą wola
Darować jemu życie...

Blanka (słyszając i widząc wszystko). O nieba!!..

Saltabadil (wyciągając z kufra stary worek płócienny i podając
go Magelonie, obojętnie)

Ten worek zaraz pozszywać trzeba.

Magelona. Po co?

Saltabadil. Jak będzie rzecz ukończona,
Wsypiem weń piasku i Apollona
Włożym, i wrzucim to do Sekwany.

Magelona. Lecz...

Saltabadil. Wtrącać się w to nie masz potrzeby.

Magelona. Żeby...

Saltabadil. Wyborne to twoje „żeby“.
Gdybym siostruni słuchał kochanej,
Tobym nie zabił nigdy nikogo.
Napraw.

Blanka. Co to za ludzie być mogą? —
To piekło chyba.

Magelona (biorąc się do zszywania worka).

Słucham cię bracie,
Lecz porozmawiać możemy przecie.

Saltabadil. Dobrze.

Magelona. Wszak uraz żadnych nie macie

Wzajemnie z sobą.

Saltabadil. A! nigdy w świecie!

Ja nawet lubię ludzi ořeza,

Bom sam z ich liczby.

Magelona. Czyż więc wypada

Zabić takiego dzielnego męża

Na cześć garbusa, co w S się składa?

Saltabadil. Wypada. Garbus dał nie złą kwotę,

By wojskowemu zrobić tę psotę.

Dziesięć dukatów mam, a dostanę

Drugie, gdy oddam obstalowane

Ciało... więc oddać trzeba widocznie.

Magelona. Garbus nadejdzie tutaj niezwłocznie

Z resztą tej kwoty. Sprzątnij go sobie.

Cóż stracisz?

Blanka. Ojczy!

Magelona. No?

Saltabadil (patrzac siostrze w oczy). Tak nie zrobię!

Cóż to ja jestem? złodziej? ladaco?

Zabijać ludzi, którzy mi płacą?

Magelona. No, to włóż w worek kilka sztuk drzewa,

On to po nocy przyjmie za trupa.

Saltabadil. To niepodobne! Gałęzi kupa

To nie nieboszczyk.

Blanka. Jaka ulewa!

Saltabadil. To widzisz suche, nieżywe, sztywne!

Magelona. Łaski dla niego!

Saltabadil. Żądanie dziwne!

Magelona. Mój dobry bracie!

Saltabadil. Ciszej! potrzeba,

By zginął... cicho bądź!

Magelona. Ja poradzę,

Pójdę go zbudzę i wyprowadzę.

Blanka. Dobra dziewczyna!...

Saltabadil. A teu kąs chleba,

Który zarabiam? Rzecz jest konieczna

Pracować.

Magelona. Prawda.

Saltabadil. No, więc bądź grzeczna,

Puść mnie, niech skończę!

Magelona. Nigdy! potrzeba,

By on żył... ja chcę!... ja chcę niezłomnie!...

(Staje z miną zdecydowaną przed schodami, zagradzając drogę bratu. Saltabadil pokonany przez jej opór cofa się i zdaje się szukać w myśli sposobu, którymby wszystko pogodzić.)

Saltabadil. No... widzisz... tamten ma tu przyjść do mnie

W północ... Jeżeli przed jej wybiciem

Ktoś, mniejsza oto kto, tu zastuka,

To się już może pożegnać z życiem.

Garbus się na nim łatwo oszuka

A nawet będzie uradowany,

Bo zawsze wrzuci coś do Sekwany,

To tylko zrobić dla ciebie mogę...

Magelona. Dziękuję. W burzy tak niesłychanej

Ktoby w tę stronę puszczał się w drogę?

- Saltabadil.** To tylko może zbawić jedynie
Tego młodzieńca.
- Magelona.** O tej godzinie!...
- Blanka.** O Boże! wodzisz na pokuszenie!
Trzebaż mi umrzeć na ocalenie
Tego, co zdradził mnie najniegodniej?
Mam-że przestąpić te progi zbrodni?
Nie!... jam zbyt młoda!... Wstrzymaj mnie, Boże!
(grzmi)
- Magelona.** Ależ tej nocy nikt przyjść nie może!
Wprzód Sekwana w górę popłynie.
- Saltabadil.** Gdy nikt nie przyjdzie, twój panicz zginie.
- Blanka** (drżąc).
Okropność!... Gdybym przyzwała straży?..
Lecz cisza wszędzie... i on oskarży,
Że ojciec mój miał udział w tym czynie!
Ja nie chcę przecież umierać jeszcze,
Ojcu mojemu zbyt jestem drogą,
Ja pielęgnuję go, ja go pieczę,
Nie miałby po mej stracie nikogo.
Umrzeć tak młodo, to nie w mej mocy!
Czuć w pierś wchodzący ostrz zimnej stali...
Ah!...
(słychać uderzenie zegaru)
- Saltabadil.** Zegar... Myśmy już dość czekali.
(dwa następne uderzenia)
Już trzy kwadransy. Nikt do północy
Nie przyjdzie... Jakże tobie się zdaje?..
Trza skończyć, kwadrans tylko zostaje.
(stawia nogę na schody, Magelona zatrzymuje go płacząc)

- Magelona.** Mój bracie, jeszcze!...
- Blanka.** Co? ona płacze!
Czyż ja, gdy mogę, go nie ocalę,
Czyż nawet zdrady mu nie przebaczę,
I kiedy on mnie nie kocha wcale,
Nie będęż umieć umrzeć dla niego?..
(wahając się jeszcze)
To jednak straszne!
- Saltabadil** (do Magelony). No, no! nie z tego!
Nie można!.. czekać nie będę dłużej!..
- Blanka.** Gdybym wiedziała, jak mnie uderzy!
Lecz brnąć przed zgonem w krwawej kałuży,
I w ciężkich ranach jeszcze się męczyć!..
O Boże!...
- Saltabadil** (starając się uwolnić od Magelony, która go zatrzymuje).
No cóż?... skończyć należy,
Nikt tu nie przyjdzie, by go wyręczyć!
- Blanka** (drżąc z zimna).
Ziębłam tak!..
(zacierając ku drzwiom)
Chodźmy dalej bez strachu!
(zatrzymując się)
Umrzeć, gdy zimno mi tak!... o Boże!..
(dochodzi chwiejąc się do drzwi i puka słabo)
- Magelona.** Ktoś stuka!
- Saltabadil.** Trzeszczą gonty na dachu!
(Blanka puka na nowo.)
- Magelona.** Ktoś stuka!
(biegnie odsłonić okienko we drzwiach i patrzy przez nie)

Saltabadil. Dziwne! (do Blanka)
Magelona (do Blanka). Kto tam? w tej porze.
(do Saltabadila)
Młodzieniec.
Blanka. Dajcie na noc schronienie.
Saltabadil. O! pięknie zaśnie!
Magelona. Noc długa będzie!
Blanka. Otwórzcie!
Saltabadil (do Magelony). Czekał, na potępienie!
Muszę wyostrzyć nieco narzędzie!
(Magelona podaje mu nóż, który on ostrzy.)
Blanka. Boże! ja slysze!... nóż ostrzą razem.
Magelona. Biedny! do grobu swego kołaczę!
Blanka. Boże! uderzy mnie tem żelazem!
Ja drzę! mam umrzeć... już nie zobaczę
Ojca!...
(padając na kolana)
O Boże! idąc przed ciebie.
Przebaczam wszystkim, co mnie zranili.
Ojcie na ziemi i Boże w niebie
Błagam, byście im też przebaczyli:
Temu, co zdradził mą miłość prawą,
Temu, co śmierć mi gotuje krwawą,
I wszystkim... Niosę życie w ofierze
Dla tego, co mnie nie kochał szczerze;
Niech mu Bóg szczęsnej nie skąpi doli,
Niech mu zapomnieć o mnie pozwoli,
Niechaj osładza każdą godzinę
Temu, za kogo z ochotą ginę.

(wstając) Już musiał skończyć.
(stuka raz jeszcze do drzwi)
Magelona (do Saltabadila). Spiesz, bo się znudzi!
Saltabadil (probując ostrza na stole).
Zaraz. — Zaczekaj! za drzwi się skryje.
Blanka. Boże!...
(Saltabadil staje za drzwiami w ten sposób, że drzwi otwierające się wewnątrz zakrywają go dla osoby wchodzącej, lecz nie dla widza.)
Magelona (do Saltabadila).
Daj znak!
Saltabadil (za drzwiami, z nożem w ręku).
Już.
Magelona (otwierając Blance). Wejdz pan.
Blanka (n. s.) Tych ludzi
Boję się!... Zrani wprzód nim zabije!
(cofa się)
Magelona. No, chodź pan.
Blanka (n. s.) Siostra bratu pomoże, —
Przebacz im ojcie! przebacz im Boże!...
(Wchodzi. W chwili kiedy przestępuje próg, Saltabadil podnosi nóż.)
(Zastona spada.)

A k t V.

Triboulet.

(Taż sama dekoracja, tylko za podniesieniem zasłony dom Saltabaldila jest zupełnie zamknięty dla widza. Frontowe okiennice zamknięte. Nie widać żadnego światła. Wszystko w ciemności.)

Scena pierwsza.

Triboulet (sam).

(Zbliża się zwolna z głębi otulony płaszczem. Gwałtowność burzy zmniejszyła się. Deszcz ustał. Słychać niekiedy grzmoty oddalone i widać słabo błyskawice.)

Więc się pomściłem! To już skończone!

Miesiąć już blisko czekam, czatuję,

Wciąż będąc błaznem. W sobie się truję,

I śmiechem głuźnę serce skrwawione!

(przyglądając się drzwiom domostwa)

Te drzwi!... Oh! dotknąć zemsty mej dzieła!

Zapewne tędy mi go wyniosą...

Czekam! choć północ nie przeminęła,

Widok tych drzwi już jest dla mnie rosą,

Przedsmakim szczęścia!

(grzmi)

Co za noc czarna!

Burza na niebie, a mord na ziemi!

Tu-m wielki! Zemsta śmiercią ciężarna

Współzawodniczy z gromy bożemi!

Jaki król padnie pod mymi ciosy!

Mocarz, któremu innych mocarzy

Dwudziestu składa hołdy... co losy

Pokoju, wojny w rękach swych waży.

On w swej potędze Europy całej

Był przeciwwaga. — Gdy go nie stanie,

Świat zadrży, państwa będą się chwiały!...

Lat trzeba będzie na zbudowanie

Sztucznego gmachu ciszy na nowo!

I gdyby patrząc na tę bojową

Arenę ziemi, Bóg dał pytanie:

„Ziemio! jakich-że krater wulkanów

Zionął na ciebie tą wojen lawą?

Kto wzburzył chrześcian i muzułmanów?

Kto wzniecił walkę wściekłą i krwawą?

Czy Klemens Siódmy, czy Karol Piąty,

Salomon, Dörja, Cezar, Mahomet,

Prorok czy rycerz wstrząsł Paryż, Róme,

I wzburzył wszystkie twoje zakąty?

Jaki to mocarz zgniółł cię swą stopą,

Powiedz mi ziemio? powiedz Europo?...

Ziemia przestraszem, grozą przejętą,

Rzekłaby: „Imię jego Triboulet!“

O ciesz się błaznie! zemstą dopiętą

Przez ciebie wstrząśnie tę ziemską kulę!

(W pośród gasnącej burzy słychać zegar oddalony wybijający północ. Triboulet słucha.)

Północ!

Głos z wewnątrz. Kto tam?

Triboulet. Ja!

Głos. Dobrze.

(Otwierają z wewnątrz dolną połowę drzwi.)

Triboulet. Spiesz!

Głos. Zostać

Chciej pan na dworze!

(Saltabadil wychodzi czołgając się przez dolną połowę drzwi. Następnie wyciąga tymże otworem, dosyć wązkim, rodzaj podłużnego worka, który z trudnością rozpoznać się daje w ciemnościach. Nie ma ze sobą światła, nie widać go również w domu.)

Scena druga.

Triboulet. Saltabadil.

Saltabadil. Pomóż pan dostać!

Oh! to tak ciężkie!

(Triboulet miotany radością konwulsyjną, pomaga wyciągnąć na przód sceny długi worek, ciemny, zdający się zawierać trupa.)

Saltabadil. Masz twego kota

W worku!

Triboulet. Radości! Niech mu się przyjrze!

Latarni!

Saltabadil. Właśnie! To mi ochota!

Triboulet. Kogoż się boisz?

Saltabadil. Mogą żołnierze

Lub czatownicy przyjść.. Dość hałasu!

Na przyglądanie nie mamy czasu.

Pieniądze.

Triboulet (dając mu pieniądze). Oto!

(Patrząc na worek rozciągnięty na ziemi, podczas gdy Saltabadil liczy.)

Jest niesłychany

Czar w zemście!

Saltabadil. Pomóż nieść do Sekwany?

Triboulet. Ja sam wystarczę!

Saltabadil (nalegając). Lżej będzie obu!

Triboulet. Nie ciężko zanieść wroga do grobu!

Saltabadil. Chyba do rzeki! — Chcesz pan koniecznie...

(idąc ku murowi wybrzeża)

Zgoda. — Nie rzucaj tu... Niebezpiecznie

W tem miejscu...

(pokazując wyłom w murze)

Tutaj wre niesłychanie

Rzeka. — Tu pan rzuć. — Dobra noc panie!

Scena trzecia.

Triboulet (sam).

On tu! nieżywy!... A jednak smutno,

Że go nie widzę!...

(macając worek) Lecz to on przecie.

O!... tu ostrogi sterczą przez płótno.

To on!

(prostując się i stając nogą na worku)

A teraz, patrz na mnie świecie!

Tu król, przy nogach trefnisa swego!

Tak! król największy z całej Europy,

I ja go trzymam pod memi stopy!

Sekwana będzie grobem dla niego,

Worek cafunem! Czyjaż to sprawa?...

Moja, tak — moja!

(po chwili)

Co przyszłość powie?

Co rzekną ludy? władcy? królowie?

Ironja losu strasznie jest krwawa!

Jeden z tych wielkich, z tych majestatów,

Król Francyi, bożek, rycerz zwycięzki,

Pojony wonią laurowych kwiatów,

Wódz, co w swych bojach nie zaznał klęski, —

(grzmi od czasu do czasu)

Franciszek Pierwszy, co szedł w zawody

Z Karolem Piątym, — ten nieśmiertelny,

Co rzucał zastęp wojsk swoich dzielny

W pogromczej chwały pełne pochody,

Co pod Marignan krwią zbroczonemi

Dłoni zdobywał wieńce swej chwały,

Ten król potężny, gwiazda tej ziemi,

Jej najwspanialszą sławą wspaniałą,

Znikł nagle w blasku świetnej korony,

Co promieniała nad jego skronią,

Pozostawiając niemy, zdumiony

Dwór, co kadzidel poił go wonią,

Znikł jakby dziecię hańby, sromoty,

Na śmierć od własnej skazane matki,

A zgonu jego jedyne świadki

To były burzy gromy i grzmoty!

Zgasł marnie pośród nocy ponurej

Jak błyskawica, co kraje chmury,

I jutro może wzniosą swe głosy

Wołacze miejscy, wskazując trzosa:

„Nagrode weźmie ten, kto odszuka!

Króla Franciszka, Walezych wnuka!

Ah! to cudowne!

(po chwili)

O dziecię moje

Tyś więc pomszczona za łez twych zdroje,

On ukarany!.. Potrzebowałem

Krwi jego!.. Patrzcie! ja ją dostałem

Za garstkę złota...

(nachylając się z wściekłością do trupa)

Zdrajco! potworze!

Powiedz! ty jeszcze słyszysz mnie może?

Mą córkę... miałeś siedząc na tronie

Klejnot piękniejszy w swojej koronie?...

Ty mi ją wzięłeś czystą i świętą,

A powróciłeś sromem dotkniętą!...

No cóż? czy słyszysz? Wiesz co się dzieje?

Oto ja teraz mszczę się i śmieję.

Udałem, żem ci przebaczył winę,

I tyś spokojny był... Lecz czyż może

Przebaczyć ojciec, gdy mu jedyne

Dziecię skalano? powiedz potworze?...

W tej walce, jaką z wzniesionem czołem

Ja słaby z tobą mocnym zacząłem,

Nie mocarz, ale słaby zwycięża.

Giniesz od jadu, od jadu węża,

Co u stóp twoich wił się i lasił.

Mam cię!...

(pochylając się coraz bardziej nad workiem)

Czy słyszysz królu i panie?

Ja błazen, który na zawołanie

Cię śmieszyl... gdy się humor twój skwasil,
Tyś go zwał psem!...

(uderza trupa)

Ha! gdy zemsta w łonie

Zawre, gdy piekło jej tu zaplonie, —

(wskazując na piersi)

Słaby otacza się majestatem,

Ciało olbrzyma karla okrywa,

Murzyn nienawiść z pochwy dobywa,

Kot jest tygrysem, a błazen katem!

(podnosząc się na wpół)

O! chciałbym, żeby słyszał w tym worze

Me słowa...

(pochylając się znowu)

Słuchaj! słuchaj! potworze!

Ja się pomściłem! Patrz, jak ja płacę

Za zbrodnię!... Niech cię teraz pochłonie

Prąd rzeki... Możesz czekać w jej łonie,

Czy cię poniesie na twe pałace!...

(podnosząc się)

Franciszku Pierwszy! chodź spocząć w rzece!

(Bierze worek za jeden koniec i ciągnie na brzeg rzeki. W chwili gdy go opiera o mur wybrzeża, drzwi domu otwierają się z ostrożnością, wychodzi Magelona, ogląda się do koła z niepokojem, robi ruch, że nie widzi nikogo, powraca i pokazuje się znów po chwili z królem, któremu tłumaczy znakami, że plac już pusty i że może się oddalić. Następnie powraca zamykając drzwi za sobą, a król przechodzi głębią sceny, w kierunku wskazanym przez Magelonę)

W tej chwili właśnie Triboulet chce popchnąć worek do wody.)

Triboulet (z ręką na worku.)

Dalej!

Król (śpiewa w głębi): „Kobieta zmienną bywa

W pustocie zwykłej swej...“

Triboulet (drżąc). Co?... głos ten!... Ha!..., nocne mary!
Szydzicie ze mnie!

(ogłada się i nadstawia ucha przestraszony, — król zniknął, lecz słychać jego głos w oddaleniu.)

Głos króla. „I często wiatr porywa
Jak puszek serce jej!“

Triboulet. Przekleństwo! czary!

To nie on!... Czart go miał w swej opiece!...

Oszukał!...

(biegnie ku domowi, którego tylko jedno okno na górze jest otwarte)

Zbójco!

(mierząc oczyma jakby chciał się tam dostać)

Ha! za wysoko!

(powracając do worka z wściekłością)

Lecz kogo zdrajca dał mi w tym worze?...

Drzę!... to niewinny jaki być może!...

(dotykając się worka)

Tak! ludzkie ciało złane posoka

Krwawą!...

(rozdziera worek od góry do dołu sztyletem, i patrzy weń z najwyższym niepokojem)

Nie widzę nic... Noc! o Boże!!

(ogładając się obłąkany)

Światła!... Tak ciemne domy... Ulice

Puste!...

(opierając się z rozpaczą na ciełe)

Czekajmy na błyskawicę!

(zostaje kilka chwil z okiem wlepionem na rozdarty worek, z którego wyciągnął Blankę do połowy.)

Scena czwarta.

Triboulet, Blanka.

(Błyska się, Triboulet podnosi się i cofa z strasznym krzykiem.)

Triboulet. To moja córka! nieba! me dziecię!
Ma córka! tutaj! nieba i piekła!

(macając swoją rękę)

Krew ciepła na dłoń moją pociekła!

Czyja?.. Mejr córki!... Nie! to być przecie

Nie może! — to jest sennie złudzenie!

To niemożliwe! ona jest w drodze

Do Loreux!... To sen straszny! marzenie!

(pada na kolana przy ciele, z oczyma wlepionymi w niebo)

Boże! tyżbyś mnie dotknął tak srodze?

Wszak ty ją miałeś w swej świętej straży...

Wszak prawda? biedny ojciec śni... marzy...

(błyskawica powtórna rzuca żywy blask na twarz bladą i zamkniętę
oczy Blanki.)

O tak! to Blanka ma ukochana!

(rzucając się na ciało z łkaniem)

Córko! me dziecię!... odpowiedz! dziecię!

Czyś ty zabita? zamordowana?

Zbójcy! bandyci!... odpowiedz przecie!

Nikogo tutaj!... Straszni zbrodniarze!...

Mów do mnie córko! błagam!... mów... każe!...

Blanka (jakby ożywiona krzykiem swojego ojca, otwiera zwolna
oczy i mówi głosem zagastym).

Czyj głos?

Triboulet (uradowany). Przemawia... rusza się nieco...

Jej serce bije, jej oczy świecą...

Oh! ona żyje!.. o Boże! dzięki!

Blanka (podnosi się do wpół, jest w koszuli, zakrwawiona, z włosami rozrzuconymi. Dolna część ciała ubrana zostaje ukryta w worku).

Gdzie jestem?

Triboulet (podtrzymując ją). Dziecię jedyne moje.
Usłysz mnie... poznaj mowy mej dźwięki!
Poznałaś?

Blanka. Ojczy!

Triboulet. To są rozboje!

Nieprawdaż?... powiedz, co ci zrobili?

Ja się urazić rany twej boję...

Tys pewno ranna. Lecz nie zabili

Ciebie.. O piekła! zbójcy! szatany!

Zanieś mą rękę do swojej rany!

Blanka (głosem przerywanym).

Cios dotknął.. czułam... serca samego...

Boli...

Triboulet. Lecz czyj cios?...

Blanka. To moja wina!...

Jam cię.. zwodziła.. biedna dziewczyna..

Przebacz mi... umrę... ale... dla niego!

Triboulet O losie straszny! Ją więc dotknęła

Ma zemsta... Boże, to ręka twoja!

Jak się to stało? zkąd tuś się wzięła?

O mów!.. wytłomacz to... córko moja!

Blanka (obumierającym głosem).

Nie każ mi mówić.

Triboulet (obsypując ją pieśczołami). Przebacz mi dziecię!

Lecz tracić ciebie, gdy nie wiem czemu!

Cierpiż?...

Blanka. Oh! tutaj, tu.. boli... gniecie...

Triboulet (podtrzymując ją z trwoga).

Blanko żyj!.. Nie daj ojcu stáremu
Cię przeżyć!

(obracając się z rozpazą)

Gwałtu! ludzie! pomocy!

Czyż tak ma córka umrze pó nocy?..

O! dzwonek promu jest tam... zadzwonię!..

Pobiegnę! czekaj nieco kochanie,

Przyniosą wody! Na me wołanie

Może kto przyjdzie!.. Może ochronię

Ciebie od zgonu...

(Blanka robi znak, że to bezużyteczne)

Nie chcecz? Potrzeba

Jednak.

(woła, nie odchodząc od niej)

Hej! kto żyw, na imię nieba!

(milenie)

Ten dom na Boga to grób prawdziwy!

(Blanka kona)

O! nie umieraj me drogie ptasze..

Na czyjem łonie ból swój ugaszę?—

Nie, umieraj proszę..

Blanka. Oh!

Triboulet. Przebóg, żywy!

Ręka cię razi.. czekaj... przełożę..

Czy wygodniej? Przez litość Blanko

Oddychaj!.. Widzisz moja kochanko,

Ktoś przyjdzie pewno i nam pomoże...

Nikogo!!!...

Blanka (głosem gasnącym, z wysileniem).

Przebacz mu ojczę drogi,

Zęgnam cię!..

(głowa jej opada)

Triboulet (wrywając sobie włosy). Kona! Blanko! ach! kona!

(biegnie do dzwonu promowego i wstrząsa nim gwałtownie)

Na pomoc! rozbój! złodzieje! wrog!

Gore!..

(powracając do Blanki)

Ach przemów coś ulubiona!

Jedyna! słówko!.. przez litość! święta!

(chce ją podnieść)

Czemu ty jesteś taka zbezwdniała,

Sztywna, milcząca i lodem ścięta?

Masz lat szesnaście, tyś nie skonała!

Czyż już usłyszeć ojciec nie może

Twojego głosu?... gdzie litość? Boże!

Czemuś nie zabrał jej z tego świata,

Zanim się w oczach mych rozwinęła?

(zbiega się lud, z hałasem, niosąc latarnie)

Czemu na rękach mi nie zasnęła

Jako niemowlę?... Czemu ulata

Z mych objęć teraz, gdy umiem cenić

Cnoty, któremi miała promienić...

Dziecię me! dziecię!

Scena piąta.

Ciż sami, Lud.

Jedna z kobiet. Przejmują duszę

Te słowa!

Triboulet (ogładając się). Przecież, żeście przybyli!
Patrzcie! ja dziecko ratować muszę...
(biorąc za kołnierz jednego woźnicę, trzymającego bat w rękę)
Masz konie? gapiu! Zaraz, w tej chwili!
Wóz!

Woźnica. Mam, na Boga, niech pan nie ściska!

Triboulet. Więc strzaskaj wozem głowę mą biedną!
(rzucając się na ciało Blanki)

Ma córko!

Jeden z obecnych. Straszna rozpacz nim ciska!

Inny. Zabójstwo!

Triboulet. Miałem cię tylko jedną!

Jeden z ludu. Trza ich rozłączyć.

(chęć oderwać broniącego się Tribouleta).

Triboulet. Ja tu zostanę!

Ja chcę ją widzieć! Co wam zrobiłem?

Że mnie z dziecięciem jedynem, miłem

Rozłączyć chcecie?

(do jednej z kobiet)

Ty zapłakane

Masz oczy! uprosz, niech mi nie czyni

Złego ta zgraja! To ukochana

Ma Blanka tutaj jest...

(kobieta wstawia się za nim. Triboulet puszczonego wraca do Blanki)

Triboulet (padając na kolana). Na kolana

Upadnij nędzny i skonaj przy niej!

Kobieta. Utul się panie! nie krzycz! mów ciszej,

Bo odprowadzić cię będzie trzeba!

Triboulet (objąkany).

Nie!... nie!... zostawcie mnie tu...

(chwytając Blankę w objęcia)

O nieba!

Ja słyszę! ona żyje!... tak... dyszy...

Lećcie pomocy szukać na mieście,

Mnie ją zostawcie... doktora weźcie

Pierwszego...

(bierze ją na ręce i układa jak matka dziecię do snu)

Ona jeszcze nie kona,

Bóg jej nie zechce zabrać do siebie,

Bo on litośny, bo on wie w niebie,

Że jednym szczęściem była mi ona!

Cały świat gardził biednym kaleką,

Ona kochała, — i ona była

Moją radością, moją opieką,

Ze mną płakała i mnie cieszyła.

O! Bóg nie weźmie mego anioła,

Dajcie co... zetrę ślad krwi z jej czoła.

(ociera jej czoło)

Patrzcie! jej usta jeszcze różowe!

Gdybyście znali ją, jak ja znałem,

Kiedy dzieciątkiem będąca małem

Swą jasną wówczas tuliła głowę

Na mojem łonie!

(przyciskając ją do serca z uniesieniem)

O ukochana

Blanko! me szczęście, me dziecię drogie!

Tak ją tuliłem na me kolana.

Sny miała wówczas spokojne, błogie!

Spała jak teraz... Gdy się budziła,

To mnie witała oczkami swemi.

Dla niej nie byłem obcym na ziemi,

Rączki swe małe do mnie tuliła.

O Biedna! tak była wesola żywa —

A teraz?

(po chwili) Teraz ona spoczywa.

Za jaką chwilkę oczy otworzy.

I ja się przejrzę w blasku ich wzorzy.

Patrzcie panowie, wszaki ja nie marzę,

Ale rozumnie mówię? Nikogo

Z was nie obrażam i nie obrażę,

Wszak wyprowadzić mnie stąd nie mogą?

Bo cóż to szkodzi komubądź z ludzi,

Że czekam, aż się córka obudzi?..

(przygląda się jej)

O! ani jednej zmarszczki na twarzy!

Patrzcie, jak ona pogodnie marzy.

Już jej rączeta w dłoniach ogrzałem...

Dotknijcie jej się tylko... spoczywa.

(wchodzi doktor)

Kobieta (do Tribouleta).

Doktor.

Triboulet (do zbliżającego się doktora).

A panie... właśnie czekałem;

Dotknij się proszę jej... Nieszczęśliwa

Musiała zemdleć... Prawda?

Doktor (przyglądając się Blance). Nieżywa!

(Triboulet zostaje w konwulsyjnym poruszeniu, doktor mówi dalej

chłodno)

Ma w lewym boku głęboką ranę,

Rana drasnęła błonę sercową

I śmierć sprawiła natychmiastową.

Triboulet. Dziecko zabiłem! dziecko kochane!

(pada omdlały.)

K o n i e c .